



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 7 listopada 1954 r.

Nr 45 (241) Rok V

KAZIMIERZ BRANDYS

PODRÓŻ PO UKRAINIE

Delegacja nasza składała się z 14 osób: pracownicy nauki, pisarze, plastycy, muzycy, architekci, przedstawiciele wydawnictw i bibliotekarstwa. W krajowych komunikatach PAP-u określono nas jako „delegację intelektualistów polskich”; osobście uważaliśmy się za grupę działaczy kultury i tak przedstawialiśmy się naszym gospodarzom.

Odbiliśmy czterotgodniową podróż po Ukrainiejskiej Republice Radzieckiej. Kijów — Charków — Stalino — Zaporozże — Krym: tak przebiegała nasza trasa. Z Symferopola szybkim skokiem samolotu zawitaliśmy do Moskwy, stamtąd, po kilku dniach, znowu do Kijowa.

W ciągu 28 dni widzieliśmy więcej, niż przez ten czas człowiek widzi na ogół we własnym kraju. Program naszej podróży był niezwykle intensywny: zwiedzaliśmy zakłady przemysłowe, kopalnie i kolchozy, wyższe uczelnie i szkoły średnie, domy kultury, muzea, instytuty naukowe, wystawy i teatry. Odbiliśmy szereg rozmów i spotkań z przedstawicielami różnych dziedzin kultury Ukrainy Radzieckiej, podejmowali nas z serdeczną gościnnością uczeni, pisarze, kierownicy ośrodków produkcyjnych i młodzież.

Dziś, po niewielu dniach, trudno szybko uporządkować wrażenia; szybko przenosił się nie tylko z pociągu w samolot i z miasta do miasta, lecz zmienialiśmy z poetycką fantazją klimaty, roślinność i barwę nieba. Wyjeżdżając 22 września z Kijowa martwiliśmy się, że nie wzięliśmy ciepłych okryć — było pogodnie lecz chłodno; w dzień się dni później wyładowaliśmy pod gorącym słońcem Krymu, na lotnisku symferopolskim witali nas ludzie w białych, letnich ubraniach, a w Jalcie, pełnej spacerowiczów w pizamach, ofiarowano nam dwa drzewka cytrynowe. Z tymi to dziewczkami wpadliśmy po trzech dniach w siwą mgłę moskiewską; wielka, kamienna stolica przywitała nas oszałamiającym ruchem i ogromem swych wieżowców niknących w pochmurnym, październikowym niebie.

Ale mimo zmienności i niezwykłego tempa przeżytych wrażeń, gdybym miał streścić je w jednym zdaniu, gdybym miał najkrócej i najszczerzej opowiedzieć co widziałem, powiedziałbym, że zwiedziłem wielki i potężny kraj, budujący podstawy nowej cywilizacji dla całego świata.

Często po powrocie powtarzałem to zdanie najbliższym ludziom wiedząc z góry, że brzmi zbyt ogólnikowo. Niestety, brak mi bardziej plastycznych określeń dla wyrażenia treści, wobec których małe słowa. Podróż po Ukrainie Radzieckiej była dla mnie nieustanną rewelacją, to jest odkrywaniem na nowo i własnymi zmysłami faktów, o których słyszałem i czytałem, a z którymi nie miałem okazji zetknąć się oko w oko. Jednocześnie zaś upadało i rozsypanyo się we mnie niejako zastarzałe wyobrażenie o tym kraju, jakie mimo woli wyniosłem z dawnej lektury czy usłyszanych przekazywanych rodzinie. I zdaje mi się, że nie należę do wyjątków. Wiedza przeciętnego człowieka w Polsce o życiu radzieckim jest co najwyżej gazetowa; widziałem jak poszczególni uczestnicy naszej delegacji szeroko otwierali oczy na widok faktów i konkretnych zjawisk, których informacja, prasa i propaganda a nawet literatura i sztuka, po prostu nie są w stanie odtworzyć z siłą równą sile rzeczywistości.

Ale najwęższy czas przejść od wynurzeń do rzeczy. Pierwszym naszym mocnym przeżyciem był Kijów.

Jedno z najpiękniejszych miast w Europie i chyba do żadnego nie podobne; słynne z opowiadań i wspomnień, obdarzone swoistym czarem i zdolnością przywiązywania do siebie ludzi na całe życie. Wszystko tutaj polega na niepowtarzalnym skrzyżowaniu wielkomiastości z zaciszną prowincją, ruchliwej magistrali z ogrodowym pejzażem. Wspaniałe asfalty, szerokie chodniki i wzgórza bujnej zieleni; olśniewające perspektywy urbanistyczne wtopione w stary, parkowy drzewostan; pochyle, spadziste ulice i ulice pnące się w górę; fantastyczna, ozdobna architektura. Kreszczatka i leśny niemal skłon miasta ku rzecze, z cudownym widokiem na wyspy i zalewy Dniepru. W żadnym mieście nie widziałem tylu kwiatów, trawników, klombów i to jak utrzymywanych. Dwóch urbanistów w naszej delegacji co krok zatrzymywał jakiś uderzający objaw dbałości o czystość uliczny: latarnia, krawężnik, kosz do śmieci, przystanek, narożna rozmównica telefoniczna, otoczenie i ekspozycja pomników, lawka na skwerze... W Kijowie nie można zakurzyć sobie butów, jeździe i chodniki lśnią jak wypolerowane, nie widziałem ogarków ani śmieci na ulicy, w sklepach, lokalach, w pokojach hotelowych i teatrach stylizowaliśmy się z czystością tak nieskazitelną, że nam, przywykłym do warszawskiego pyłu krępowało to nieco ruchy.

Być może, iż są to rzeczy drobne, świadczą jednak o kierunku wychowania społecznego. Chętnie głosimy pochwałę pedantycznej czystości skandynawskich i holenderskich miast, czystości mieszczańskich, patrycjalnej, pięćsetletniej. Czystość miast ukraińskich jest nieco innego pochodzenia: na ulicach Kijowa, Charkowa i Zaporozża przechodniami są robotnicy, żołnierze i młodzież, ludzie w skromnych ubraniach, tzw. szary tłum. Ale ten „szary tłum” odznacza się swoistym wychowaniem, dyscypliną i godnością i ten „szary tłum” potrafi szanować rzecz publiczną. Są to rygory młodej cywilizacji, która ceni dzieło swojej pracy i zważa, by nie oszpecić tego, co stworzyła.

Ta młoda cywilizacja odznacza się niesłychaną prężnością. W miastach, któreśmy zwiedzali, w ruchu ulicznym, w atmosferze zwycięstwa się silny, wartki nurt życia, celowość, precyzyjną organizację i jakąś zupełnie nową zasadę codzienności. Znam kilka prowincjonalnych miast europejskich i doceniam w pełni ich urok wyszczególniony w przewodnikach dla turystów; ale wrażenie, jakie wywierają miasta Donbasu czy Dniepru jest głębsze i silniejsze. W każdym z nich istnieje zasadnicze źródło życia, potężny regulator, centralna siła dynamiczna: produkcja. W Charkowie jest to wielka Fabryka Traktorów, w Zaporozżu olbrzymia huta stali. Wokół tych ośrodków produkcji układa się cały system społeczny miasta; osiedla robotnicze, domy kultury, biblioteki, instytuty naukowe, szkoły, żłobki i teatry. Powstaje bogaty układ związków między bazą a nadbudową, układ, w którym miejsce człowieka określone jest ściślej, niż w społeczeństwie kapitalistycznym, i gdzie w zamian za pracę prócz wynagrodzenia, człowiek uzyskuje szereg dóbr niewymiernych, służących jego higienie, rozwojowi, wychowaniu, kulturze. Zwiędziliśmy wystawy i instytuty ochrony pracy ludzkiej, w których najnowsze zdobycze naukowe wykorzystane są dla zapewnienia robotnikowi zdrowia i bezpieczeństwa. Widzieliśmy szereg żłobków dziecięcych przy zakładach, gdzie dzieci robotnicze rosną w warunkach najzupełniej idealnych z każdego punktu widzenia. Spędziliśmy pół dnia w Charkowskim Instytucie Politechnicznym, w którym kształcą się 8 tysięcy studentów, korzystających nie tylko z najnowszej wyposażonych laboratoriów,



TROFIMOW. WIEŚĆ O REWOLUCJI

(OLEJ 1949)

ale i z własnego sanatorium na Krymie i domu wypoczynkowego na Kaukazie. Charkowska Fabryka Traktorów ma 12 własnych szkół-dziesięciolatek dla dzieci swoich robotników, stadion sportowy, kółka muzyczne, teatralne, taneczne, szachowe... Osiedle przy tej fabryce, ukryte w bujnej, wysokiej zieleni, przypomina dzielnicę willowe w zamkniętych miastach na Zachodzie.

Wszystko to stwarza nowy układ rzeczywistości, w którym pracę i produkcję łączy bogaty rozbudowany kompleks związków z życiem oświatowym człowieka. Podczas gdy w państwie kapitalistycznym życie jest wyzwoleniem od pracy, tu w miastach radzieckich praca i życie ludzkie zespala się ze sobą w systemie wzajemnych i całkowicie naturalnych powiązań. I żadne cyfry ani dane statystyczne nie zdołają odtworzyć tego zjawiska, które uderza siłą swojej nowości.

Zwiedzaliśmy nie tylko fabryki i muzea — spotykaliśmy ludzi. W opinii burżuazyjnych dziennikarzy człowiek radziecki jest istotą zagadkową; w niektórych zaś naszych publikacjach jawi się jako istota nadludzka. Miałem możność stwierdzić bezpośrednio i naocznie, że człowiek radziecki ma bardzo proste i bardzo ludzkie cechy. Niezwykłość ich polega jedynie na tym, że cechy te znajdują racjonalne oparcie w ustroju społecznym, że ustrój nadaje im kierunek; że wobec ustroju trzeba się z nich wyliczyć.

Ludzie, jakich spotykałem na Ukrainie Radzieckiej, byli to przede wszystkim inżynierowie, nauczyciele, funkcjonariusze instytutacji państwowych, kierownicy kolektywów produkcyjnych. Pierwsze wrażenie jakie wyniosłem z owych spotkań, dotyczyło stylu osobistego naszych gospodarzy i rozmówców; stylu, który polega przede wszystkim na specyficznym połączeniu rzeczowej precyzji z poczuciem odpowiedzialności, rozsądku z powściągliwą godnością. Jest jakiś paradoks w fakcie, że o ludziach radzieckich piszemy frazesami, podczas gdy frazes jest czymś najbardziej obcym dla stylu radzieckiego człowieka. Właśnie konkret, właśnie praktyka i realne doświadczenie wydały nam się uderzająco charakterystyczne w wypowiedziach, wzięciu i sposobie bycia naszych ukraińskich gospodarzy. Nie trzeba być przyrodnikiem obserwatorem, aby wyczuć za każdym z tych ludzi obecność potężnego zaplecza technicznej cywilizacji. Tak mówią i tak się zachowują jedynie ludzie odpowiedzialni za produkcję, za plan, za cyfry wydobywania i pracę załogi. Jest to zasadnicze podobieństwo łączące dyrektora kopalni w Zagłębiu Donieckim z przewodniczącym kolchozu w okręgu kijowskim, kierownika szkoły średniej w Charkowie z brygadzystą w fabryce przyrządów elektrycznych. Jest to nowa obyczajowość radziecka wytworzona przez socjalistyczną pracę i produkcję: gospodarska, nie obliczona na efekt, najdalsza od pustostaw i teatralnych gestów. Wśród wszystkich informacji i wyjaśnień, jakich nam udzielano podczas odwiedzin w licznych zakładach produkcyjnych Ukrainy Radzieckiej, raz tylko z ust jednego z inżynierów, w odpowiedzi na wyraz podziwu naszych delegatów, padły słowa wykraczające poza język fach-

wo — praktyczny: „Staramy się najlepiej wykonywać zadania, powierzone nam przez Partię i Rząd”. Inżynier powiedział to półgłosem, z lekko zażenowanym uśmiechem. Ale sądzę, że każde z tych paru słów wyrzuciło z dość ważkich doświadczeń i że niepozorny mężczyzna w nienajwytworniej uszytym garniturze bierze za każde z tych słów wystarczającą odpowiedzialność.

Zakres odpowiedzialności ciążyącej na człowieku radzieckim jest większy niż gdziekolwiek indziej. Mieśliśmy możność przekonać się o tym podczas naszej podróży po Ukrainie. Zdumiewająca skala zadań i przedsięwzięć społecznych wymaga od jednostki najwyższego wysiłku. Po to, by mogły powstać nowe, wielkie miasta, wyrósł na nowo, olbrzymie obiekty przemysłowe, by rolnictwo mogło się oprzeć na socjalistycznych podstawach — trzeba było nie tylko nowoczesnej, socjalistycznej organizacji życia, ale i całkowitej przemiany stosunku człowieka do samego siebie i do substancji społecznej, która go otacza. Przemiana ta stała się faktem. Dokonała się zapewne niełatwo, ale dziś, po dziesięciokach lat, głęboko zapuściła korzenie w psychice radzieckich ludzi.

Przejawy tego procesu spotykaliśmy co krok. W Zaporozżu przedstawiciele władz miejskich w czasie zwiedzania miasta pokazywali nam przyszłe, wytyczone dopiero perspektywy urbanistyczne i plany nowego centrum, dokładnie określając daty oddania ich do publicznego użytku. Mówili o tym z tak spokojną pewnością i przekonaniem, jak gdyby to już istniało i jakby do zrobienia pozostała tylko bagatelka: zbudować. Każdy z tych ludzi, mimo że żaden z nich nie był ani zagadkowy, ani nadludzki, ma co najmniej odmienny zespół cech niż człowiek w kraju kapitalistycznym. Planowanie, czyli pewien rodzaj materialnej wyobraźni, i jakby naturalna gotowość do przekształcania rzeczywistości — stały się po prostu rysami ich psychologii. Pewność, że z chwilą zaplanowania rzecz, której jeszcze nie ma, jest już rzeczywista — to drugi charakterystyczny rys. Ale te właściwości mieszkańców Zaporozża stają się zrozumiałe, jeśli się je rozważa w świetle ich społecznych doświadczeń, na tle ich miasta, w perspektywie czasu radzieckiego. Samo bowiem Zaporozże jest miastem zastanawiającym. Składa się z dwóch części: starej, przedrewolucyjnej, o niskich budynkach i długich, brukowanych ulicach oraz z

części nowej, radzieckiej o szerokich asfaltowych magistralach, monumentalnych gmachach i wielkich magazynach. Ta nowa część miasta ma wspaniałe rozmach urbanistyczny, przy którym stare Zaporozże wydaje się wsią; ta nowa radziecka część spotyka się z Dnieprem i wznosi na rzece olbrzymi system Dnieprogesu, wielkiej elektrycznej stacji wodnej, której energia (650 tysięcy kilowatów) zasila przemysł południowej Ukrainy. Za Dnieprem ciągnie się piękna dzielnica willowa, pełna zieleni i barw, przeszlicznych alejek i klombów. Połączenie architektury Dnieprogesu, potężnej a zarazem lekkiej i harmonijnej, której forma stworzona jest niejako z samej treści, połączenie tej celowej, lapidarniej konstrukcji z wielkomięjskim centrum i wesołym, kurortowym przedmieściem — zaskakuje przybysza silnym wrażeniem nowego, nigdzie indziej niespotykanego zjawiska. I żeby zrozumieć, jak dalece zjawisko to musiało kształtować psychikę tutejszych ludzi, trzeba pamiętać o jednym: że cała ta część Zaporozża 25 lat temu w ogóle nie istniała, że mieszkańcy liczący dziś lat 30 wzrastali razem ze swoim miastem; że Dnieproges został przez hitlerowców całkowicie zburzony i odbudowany na nowo przez ludzi radzieckich; i że dziś Zaporozże buduje przyszłe swoje centrum, którego rozmach wielokrotnie przewyższy skalę dotychczasową. Jeśli życie człowieka upływa wśród takich faktów, jeśli takie zjawiska stają się normalną codziennością, to nie ma czemu się dziwić, że ludzie tutejsi zdumiewają nas swoją spokojną, mocno ugruntowaną wiarą w obecność rzeczy jeszcze nieistniejących. Realna fantastyka wcielana w życie, myśl i wola, które przemieniają się w rzecz zaplanowaną, precyzyjną organizacją wyobraźni nadająca dynamikę każdej dziedzinie działalności — to podstawowe cechy psychologii społecznej, jakie muszą zastanowić podróżnych zwiedzających miasta i wsie Radzieckiej Ukrainy.

Ale delegatów naszych zastanawiało jeszcze wiele innych rzeczy. Byli w naszej grupie wytrwali obserwatorzy i badacze t.zw. „zagałdek życia radzieckiego”, którzy zebrali w czasie podróży niemały materiał do świeżych refleksji. Płodny temat w tej mierze stanowi dziedzina wychowania kulturalnego na Ukrainie Radzieckiej.

Zwycie kulturalne — artystyczne Republiki Ukraińskiej posiada gęstą sieć organizacyjną, ogarniającą cały obszar kraju. W 26 okręgach administracyjnych, analogicznych do naszych województw istnieje 81 teatrów, prócz tego 17 teatrów objazdowych, przeznaczonych głównie dla widza wiejskiego; każdy okręg ma swoją filharmonię i Dom Twórczości Ludowej, każdy rejon (powiat) — Rejonowy Dom Kultury; każde siolo (gmina) posiada własny klub muzyczny, przy czym wiejskie amatorskie orkiestry symfoniczne pod kierunkiem specjalnie wyszkolonych instruktorów bynajmniej nie należą do wyjątków, przeciwnie: dla takich instruktorów istnieje 16 specjalnych uczelni muzycznych; 28 tysięcy bibliotek państwowych, olbrzymia sieć bibliotek szkolnych, kolchozowych, związkowych, wszystko to świadczy o zakresie i skali organizacyjnej życia kulturalnego u naszych ukraińskich sąsiadów.

Jak to wygląda z bliska? Widzieliśmy szereg imprez artystycznych w tzw. terenie, zachodziliśmy do domów kultury, klubów i bibliotek. Otóż jedno mogę stwierdzić z całkowitą pewnością: zetknąłem się ze społeczeństwem, w którym nie ma ludzi niezaangażowanych w życie kulturalne i gdzie sztuka w rozmaitych formach, od bardzo prostych do najbardziej wysublimowanych, dociera wszędzie.

Może to brzmieć znowu gazetowo i frazeologicznie, ale w bezpośrednim zetknięciu wywiera potężne wrażenie. Oglądaliśmy wiele widowisk, przeżywaliśmy koncerty tańca, recytacji i pieśni, na które publiczność reagowała z entuzjazmem nie mniejszym niż widownia warszawska na francuski teatr Vilara. I to jaka publiczność: kobiety w chustkach, mężczyźni w robotniczych kurtkach, i gromady, tłumy młodzieży. W Domu Kultury przy zakładach narodziły się górniczych w Charkowie zwiedziliśmy bibliotekę, zaopatrzoną w solidny dział literatury polskiej, włącznie z tomami naszych współczesnych pisarzy i antologią polskiej prozy powojennej. Potem urządzono nas koncertem, na który publiczność przyszła wprost z sali tańca, zgrzana i rozbawiona;

(Dokończenie na str. 6)

WIERA INBER

KWIECIEŃ

Spokojny, gniewny, wesoły, pełen troski —
Lenin był prosty w życiu i we wszystkim.
„Prosty jak prawda” — rzekł o nim z naciskiem
W rozmowie z Gorkim robotnik sormowski.

Lenin był jasny. Ile dróg otwiera
Jego myśl — jasna, ostra, nieomylna.

Zdało się, jakby nie mogła być inna
Każda w twórczości Lenina litera.

Na wiecach, gdy przemawiał ich obrońca,
To serca prostych ludzi każde słowo
Jego ciągnęło z siłą żywiołową —
Tak się rośliny zwracają do słońca.

Zima wznosiła jeszcze okop w Zimnym,
Lecz w najeżone armatami ściany
Już bagnet wiosny był wycelowany,
Już fale w groźnym łączyły się hymnie.

Już przyszłe walki huczały tu wokół...
Na marynarski samochód pancerny
Wszedł Lenin w kwietniu, w siedemnastym roku
Jak prawda prosty.

I wielki. I wierny.

Przełożył Leopold Lewin

22.11.54

I, wreszcie
pod zgiełkliwy jazd i pędu wtór,
tchnąwszy niezmierzonymi płucami na przestrzał,
kottując się chmurami, wydarły się z dziur
i runęły jak burza rosyjskie powietrza.
Idzie-e-e-emy!
Idziemydziemy!

I całe to
sto pięćdziesiąt milionów ludzi,
billiony plazów,
tryliony owadów,
zwierząt domowych i dzikich,
setki gubernii
ze wszystkim, co jest w nich,
co zbudowane,
co zwarte stanowi szyk ich,
wszystko, co może poruszać się,
i wszystko, co trwa w bezruchu,
wszystko, co ledwie ruszało się,
przesmykając się,
pełną, płynąc —
lawiną ruszyło,
lawiną!

I huczało nad miejscem,
gdzie niegdyś stała Rosja:
— To przecież nie ważne,
by grzebać się w sacharynie!
Uderzać w dzwony — oto dla serca rzecz ważna!

Dzisiaj
do raju niech Rosja popłynie,
tam, gdzie tęczowym zachodem prześwieca szczelina każda.

U-hu,
u-hu, u-hu,
u-hu!

Idziemydziemy!
Przez białą gwardię śniegów Idziemy co tchu!

KTO CIELSKA GUBERNII PORUSZYŁ,
BY PRZEKROCZYŁ ZAKRES WYZNACZONYCH OD WIEKÓW
RUBIEŻY?

CZEMU NIEBIOS ROZWARŁY SIĘ USZY?
KOGO HORYZONT BACNYM SPOJRZENIEM MIERZY?

Dlatego
dzisiaj cały świat
kieruje na nas
wzrok swój ciekawy

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Przełożył JAN BRZECZHA

150.000.000

(Fragment poematu)

I, łowiąc rzeczy najmniejsze,
każdy wyteża swój słuch,
ażebym widzieć te sprawy,
ażebym słuchać tych słów:
to — rewolucji wola,
poza ostatni kres przerzucona,
to — mityng,
który w maszyny maszynowego łona
wmięszal ludzi i tusze zwierzęce,
to — ręce,
lapy, kleszcze,
lewary w jednomyślną przysiędę
wbite tam, gdzie powietrza jest dal rozrzedzona,
Poetów,
którzy swym wyciem pod niebo jakoby się wzniesli,
zapomnijcie,
słuchajcie tych oto pieśni:

„Myśmy przyszli, poprzez stolice,
Przedarliśmy się przez tundry
krocząc po kalużach i błocie.

Myśmy przyszli, miliony,
miliony robotników i pracowników,
miliony ludzi pogrążonych w robocie.

Myśmy przyszli tu z mieszkań,
myśmy zbiegli ze składów,
z pasażów pożarem objętych.

Myśmy przyszli, miliony,
miliony rzeczy
znieksztalonych,
połamanych,
pogiętych.

Myśmy zesłi tu z gór,
z pól od lat obgryzanych,
poprzez leśne ostępy.

Myśmy przyszli,
miliony,
miliony bydląt
wygodniałych,
zdziczałych
i tępych.

Myśmy przyszli,
miliony
bezbożników,
ateistów
i pogan —

bijąc
czołem polem,
rdzawym żelazem —

do Boga
pomódlmy się razem.
Wyjdź
nie z gwiazdnego
ciepłego łóża,
Boże żelazny,
ognisty Boże,
nie ciała niebieskie
sączący spod powiek,
Boże z mięsa —
Bóg — człowiek!

Nie do gwiazd
wpędzony na zawsze,
ziemski
wśród nas
zjaw się!

Nie ten: „ojczenasz,
któryś jest w niebie“.
Na oczach wszystkich, sami
dla siebie
zajmijmy się
dzisiaj
czudami.

W Twoje imię
bój się sprzęga,
w huk, w huk,
w dymie
stajemy dęba.
Idziemy do czynu
trzykroć trudniejszego niż boży,

Bóg,
próżnię wypełniając rzeczami, tworzył.
My zaś
z fantazji nowe wnosimy,
a przytem
musimy stare
wysadzać dynamitem.

LESZEK WYSZNACKI

SPRAWY NIEOBOJETNE

O polską barwę

Wiele się mówi i dyskutuje wśród dziennikarzy, w innych środowiskach twórczych, w kołach działaczy politycznych o słabościach i konieczności podniesienia poziomu naszej prasy, naszego dziennikarstwa. Stusnie wskazuje się na takie objawy słabości jak nieprzepiętych jeszcze schematyzm, jawność, deklaratoryność, obracanie się w kręgu utartych argumentów i zwrotów. Rezultat? rozmiękanie się z tym, co nurtuje nasze społeczeństwo. Nasza działalność dziennikarska, publicystyczna nie jest zawsze „rozmową z narodem”, zbyt często jest — monologiem. Stwierdzenie to nie jest żadnym nowym odkryciem. Lecz słabości naszej prasy dają nam o sobie znać ze zwiększoną siłą w okresach wielkich akcji politycznych, propagandowych. A dziś właśnie toczy się wielka kampania przed wyborami do rad narodowych wymagająca pobudzenia aktywności społeczeństwa, wszechstronnego ożywienia rozmowy między władzą, partią a narodem.

Do refleksji niniejszych pobudził mnie interesujący artykuł S. Łasickiego w 36 numerze „Nowej Kultury” i „O narodowej formie kilka pobieżnych uwag”.

Jaka jest moim zdaniem jedna z zasadniczych słabości naszej publicystyki i reportażu? Odpowiedź krótka: wypranie ze specyficznych cech narodowych. Jest już tak w publicystyce, że argumenty ideologiczne, klasowe zawarte w artykule, wtedy nabierają siły, życia, barwy gdy „wyposażone są w sumę doznań, nawyków, nawastrzeń obyczajowych zrodzonych z historii, z bytowania pod polskim niebem”.

Każdy naród wyposażony jest w tny zespół cech psychicznych, uczuciowych, ma on swój charakter narodowy, zrodzony z odmiennych losów, warunków rozwoju. Ma swoje przyzwyczajenia, temperament, swój rodzaj wrażliwości, umiłowania i skłonności. Ma swoje obyczaje, tradycje, miłości i nienawiści. W jakiej bogactwo pięknych cech obfituje nasz naród! Niestety, w twórczości dziennikarskiej nie umiemy w dostatecznym stopniu odwoływać się do nich. Często z uczuciem obojętności bierzemy do ręki np. numery prasy młodzieżowej. Widzimy w nich obok doświadczeń, żywych reportaży np. Winińskiego, Wacowskiej, Olbrychta i innych — wiele, za wiele nudnych, suchych, starczych wypracowań, artykułów i relacji. Powstaje wyraźny dystans między tym, formą, argumentacją publikacji młodzieżowych, a bujnym, kipiącym, różnorodnym, bogatym we wrażenia i przeżycia, życiem młodzieży, jej plastyczną, gorącą wyobraźnią, niepokojem serca, wrażliwością właściwą młodości.

Jakże często piszemy o bohaterach naszych czasów, jak Buczek, Nowotko, Świerczewski językiem napuszonym, beznamiennym i nieszczęśliwym frazesami. Piszemy o ludziach będących wcieleniem najpiękniejszych przymiotów narodu polskiego: ofiarności, romantyzmu, fantazji, umiłowania pełni życia i gotowości poświęcenia go dla

pisarzach, klasykach. Publicyści w bardzo małym stopniu korzystają z przebogatego skarbcu twórców naszej literatury ojczystej, ze słowników, z przysłów narodowych. Gdy czyta się Kochanowskiego, Reya, Morsztyna, Modrzewskiego, Mickiewicza, Żeromskiego, Prusa, Sienkiewicza, jakież odkrywa się bogactwo języka, jakież ośniewające porównania, jaką jedność i świeżość obrazowania!

...a teraz drobna sprawa z dziedziną tzw. realiów. Chodzi o krajo- obraz twórczości dziennikarskiej. Na jakim tle działają, pracują, walczą, kochają się mieszkańcy naszego kraju? Gdyby opierać się na relacji naszych gazet, wszystko to odbywa się w pustce. W najlepszym razie są wstęgi szos, lasów i jasne ściany nowych domów. Gdzie podziwia się piękno i rozmaita uroda naszego kraju, którą podziwiamy i kochamy? Wiele przeżyć: dumy z ojczyzny, swego miasta, wsi, bliskiego sercu krajoobrazu można ożywić i pobudzić. Niestety na palcach jednej ręki policzyć można dziennikarzy dostrzegających to czego i szukać nie trzeba.

Jest u nas takie polskie, warszawskie, niepowtarzalne zjawisko — Wiech Wrócił on w warszawskie społeczeństwo, w naszą rzeczywistość, wbrew wrożdom niektórych doktrynerów. Dlatego, że chyba jak nikt inny podchwytuje Wiech ułatawicy Warszawa klimat uczuciowy, humor, poczucie śmieszności, zdrowy rozsądek, zdrowy sceptycyzm zmieszany z sentymentem do spraw bliskich naszemu sercu, do swego miasta, do jego odbudowy.

Przy tej okazji rozszerzając nieco problem trzeba powiedzieć, że nasze pisma terenowe w bardzo małym stopniu różnią się między sobą, że na ogół nie potrafią uwzględnić i odwoływać się do specyficznych cech i tradycji ludności różnych dzielnic kraju. Artykuły z gazet np. bydgoskich można po zmianie nazw drukować z równym powodzeniem w lubelskich i odwrotnie. Słyszysz się narzekania redaktorskie, że trudno tę specyfikę uchwycić, że brak jest wzorów... Ożóż wydaje mi się, że typowym wzorem dla dziennikarzy terenowych, przykładem jak można wydobyc „tajemniczą specyfikę” terenu może być opublikowany ostatnio w „Świecie” reportaż Mariana Brandysa pt. „W Północwie dnieje”. Na przykładzie tego reportażu można stwierdzić, że specyfika terenu nie jest bez precedensu w naszej prasie. M. Brandys wyraźnie ukazał jak pozytywnym jest łączenie w harmonijną całość kolorysty krajoobrazu, topografii społecznej, historii danego terenu ze zwycięską walką o nowe.

Naród jest organizmem żywym, stale rozwijającym się, nabywającym nowych cech, właściwości, umiejętności i doświadczeń wraz ze zmieniającymi się warunkami. Przez dziesięć laty nastąpił moment zwrotny w dziejach i warunkach rozwoju narodu polskiego. Ostatnie dziesięciolecie dokonało głębokich zmian w psychice narodu. Przeżywamy tak burzliwy rozwój,

(Dokończenie na str. 7)

Z zebrania organizacji partyjnej literatów warszawskich

W połowie września br. Podstawowa Organizacja Partyjna przy ZLP w Warszawie wybrała na zebraniu sprawozdawczo - egzekutywną POP. Do egzekutywy weszli: Kazimierz Brandys, Tadeusz Drewnowski, Janina Dziarnowska, Andrzej Mandalian, Leon Przemiński, Jerzy Putrament, Lucjan Rudnicki.

22 października odbyło się zebranie POP poświęcone omówieniu treści i kierunku pracy organizacji partyjnej w najbliższym okresie. Referat przedstawiający pogląd egzekutywy w tej sprawie wygłosił Tadeusz Drewnowski.

Punktem wyjścia referatu była ocena życia ideowego organizacji partyjnej, a w szczególności analizy przyczyn pewnej opieszałości ideowej i zahamowań, jakie wystąpiły ostatnio zarówno w życiu partyjnym jak i związkowym naszego środowiska literackiego.

Rok ubiegły, podkreślał referat, był wyjątkowo bogaty w dyskusje literackie i u nas, i w ZSRR, dyskusje, które wywołały zdrowy ferment i wpłynęły ożywczo na pracę i działalność twórców. Wyrazem tego ożywienia był również czerwcowy Zjazd Literatów, który przebiegał w atmosferze żywej, otwartej, szczerzej dyskusji. A jednak nowy, powakacyjny rok „literacki” rozpoczął się w życiu związkowym pod znakiem nastrojów bierności, co więcej — pod znakiem występującego tu i ówdzie w środowisku literackim mętlaku ideologicznego.

Bierność organizacji partyjnej znalazła wyraz również na zebraniu sprawozdawczo - wyborczym, na którym nie doszło do otwartej, szczerzej, partyjnej dyskusji, do ujawnienia przyczyn osłabienia aktywności ideowej organizacji partyjnej.

Co się złożyło na ten stan rzeczy? Gdy w roku 1948/49, mówił Tadeusz Drewnowski, wystąpiliśmy z hasłem realizmu socjalistycznego, z hasłem zbliżenia się twórców do życia podstawowych mas narodu, zdołaliśmy rozbić wiele wień z kości słoniowej, rozbiłszy mitologię samotnictwa twórczego i wpuszciliśmy do literatury wielkie tchnienie naszej rewolucji... Nie potrafiliśmy się jednak uchronić od niedojrzałości, a nawet lekkomyślności w przedwczesnej kanonizacji pierwszych osiągnięć naszej literatury o tematyce współczesnej. Nie spostrzeżaliśmy w porę zacieśnienia, jednostronności, wulgaryzacji, jakie wkładły się w nasze pojmowanie zadań literatury socjalistycznej... Zeszłoroczny ferment brał się z potrzeb życia twórczego, był zdrowym objawem torującego sobie drogę postępu... Nie ulega wątpliwości, że dyskusje w ZSRR i u nas prowadziły do pogłębienia założeń sztuki socjalistycznej, posuwały myśl artystyczną naprzód... Nie umieliśmy jednak — i tu dochodzimy do jednego z źródeł osłabienia tętna naszego życia literackiego w ostatnim okresie — umocnić zdobytych pozycji, nie potrafiliśmy dość jasno i precyzyjnie określić, co znaczy rewizja niektórych poglądów w dziedzinie naszej literatury. Wiąże się to z dużą inercją aszych krytyków i pisarzy, którzy winni poczuwać się do odpowiedzialności za losy naszej socjalistycznej literatury. Wiąże się

również z pewną bez troską i nieudolnością organizacji partyjnej w tych sprawach.

Od dłuższego czasu praktyka pisarska nastrocza wiele problemów natury ogólnej. Trzeba powiedzieć, że mamy spore zapóźnienie myśli teoretycznej za praktyką twórczą. Problemy te nie są łatwe, często przerastają one siły poszczególnych krytyków i pisarzy i są przemilczane przez publicystykę. Dlatego potrzebna jest zespołowa dyskusja nad tymi problemami — i w łonie organizacji partyjnej, i na sekcjach twórczych.

Tymczasem organizacja partyjna nie zawsze umiała utrafić we właściwe problemy, będące zawodowymi problemami pisarza. Pracy organizacji partyjnej nie zawsze przyświeca pełne poczucie troski i odpowiedzialności za rozwój naszej literatury, za jej nowatorstwo socjalistyczne, za jej wartości wychowawcze i za właściwe — nie uproszczone, nie zwulgaryzowane — rozumienie tych wartości.

Wiąże się z tym jeszcze jedno charakterystyczne zjawisko. Cechuje nasze środowisko literackie, zarówno partyjne jak bezpartyjne, jakaś skłonność do „życia ułatwionego”, do wycekiwania na „nastawienia” i gotowe rozwiązania z zewnątrz, czy to z dyskusji radzieckich, czy to ze strony naszych „czynników miarodajnych”. A nie jest przecież zadaniem partii rozwiązywanie ideologicznych i estetycznych problemów pracy twórczej bez pisarzy i krytyków. „Musimy mieć ambicję, stwierdza referent, aby przy pomocy ideologicznej, jaką nam daje partia, z opinii pisarzy, krytyków i czytelników kształtował się wśród nas słuszny pogląd na konkretne problemy literatury. Tymczasem nasza organizacja partyjna, nasze związkowe sekcje twórcze i pisma związkowe czuły się jakby zwolnione od tego trudu. Przy nacisku mieszczaucha z „lewa” i z prawa bierność nasza w wielu wypadkach staje się szczególnie rażąca”.

Druga zasadnicza sprawa, jaką poruszył referat, to izolacja środowiska literackiego od życia podstawowych mas narodu i jednocześnie niedostateczny udział organizacji partyjnej literatów w życiu ogólnopartyjnym, w kampaniach i akcjach prowadzonych przez partię.

„Wiele mówimy, stwierdził referent, i słusznie, o odrębności zadań naszej organizacji partyjnej. Nie wolno nam jednak zapominać, że jesteśmy komórką partii, że z tytułu tej odrębności i, można rzec, wyjątkowości naszej POP nie przestają nas obowiązywać zadania i rygory właściwe całej partii”.

Zagadnieniem dnia są pierwsze w Polsce wybory do rad narodowych. Dobre, rzetelne piarstwo jest zawsze agitacją, jest budzeniem ludzkich sumień, myśli i uczuć. W dniach kampanii wyborczej pisarze powinni jeszcze bardziej wzmoczyć swoją troskliwą przyjaźń z człowiekiem, winni jak najszerszej włączyć się w rytm agitacji wyborczej.

„Niestety, stwierdza dalej referent, dość są u nas rozpowszechnione nastroje uchylania się od roboty masowo - politycznej. Nie mówiąc już o społeczności takiej postawy niektórych towarzyszy, wydaje się, że nie doceniają oni szansy, jaką daje im aktywne uczestnictwo w pra-

cy agitacyjnej jako pisarzom, że nie dostrzegają możliwości tych akcji jako wtargnięcia w „teren ludzkich spraw”. Zamknięcie się w sobie środowiska literacko - artystycznego, jego oderwanie od życia szerokiej mas narodu jest faktem, o którym się często mówi. Zbyt mało jednak się czyni, aby przełamać tę izolację. A przecież pociąga ona za sobą wiele niezdrowych objawów moralno - obyczajowych, zwłaszcza w środowisku młodych pisarzy, a nade wszystko odbija się ujemnie na ich twórczości.

„Czy Związek Literatów powinien „łłoczyć pisarzy w życie”, zapytuje referent, czy nie? Zdaniem egzekutywy inicjatywę Związku, mającą na celu wejście pisarzy w głąb życia, jest jednym z głównych jego zadań”.

Tym głównie torem poszła szeroka dyskusja. Temperaturę jej nadal pisarze, którzy właśnie powrócili z wędrówek po kraju.

Adam Galis mówi o pasjonujących przemianach, jakie przez czas dłuższy obserwował w jednej z wsi poznzańskich, mówi, jak wiele dla terenu wiejskiego znaczą obecne wybory do rad gromadzkich. Bogactwo, dramatyzm, uroda naszego życia wyrwałyby z trudności i kompleksów niejednego pisarza, borykającego się samotnie ze swym piarstwem.

Władysław Żesławski dzieli się z organizacją swoimi spostrzeżeniami i przeżyciami z dłuższego pobytu w zespole pionierów, zagospodarowujących odłogi na ziemi olsztyńskiej. Żesławski opowiada o działaniu wroga klasowego, któremu młodzież ta dzielnie stawia czoła. Ale często obserwuje się tyle bezduszności i nieudolności naszego aparatu w stwarzaniu pionierom warunków życia, że entuzjazm ich jest wystawiany nierzadko z naszej winy na ciężką próbę.

Danuta Bienkowska podkreśla, że pisarze jadą w teren nie tylko po to, aby zbierać doświadczenia — jesteśmy tam potrzebni również jako agitatorzy naszej sprawy, mający do wypełnienia doraźne zadania społeczne.

Przemówienia A. Galisa, W. Żesławskiego, L. Teligi, E. Piszer i M. Brandysa stały się niezwykle płodną wymianą zdań o problemach pisarskich.

Nasza twórczość, mówi Janina Pregerówna, przechodzi często obojętnie obok żywotnych spraw „szarych” obywateli, nie pokazuje codziennego dramatyzmu życia. Nawet „Obywatele” (wg jej zdania, z którym polemizowali inni mówcy) o tych sprawach mówią półgębkiem.

J. Pregerówna i H. Gaworski apelują do naszych czołowych pisarzy aby nie stronili od problemów współczesności, gdyż ich twórczość może się waleń przyczynić do przełamania pewnych złych tradycji, jakie nawastrwały się w piarstwie mówiącym o dniu dzisiejszym.

Jerzy Putrament, a również Adam Tarn mówili o skomplikowanych przyczynach sprzyjających izolacji środowiska twórczego. Niestety, wiele przyczyn, również materialnych, trzyma pisarzy wyłącznie w środowisku zawodowym, niektórzy ulegają łatwym zamówieniom. Nasza agitacja, nasza praca związkowa powinny zmierzać w kierunku głębszego wtargnięcia pisarzy w życie

(Dokończenie na str. 7)

Rok siedemnasty

Druga połowa października roku 1917. Wojna toczy się w dalszym ciągu ze zmien- nym szczęściem dla obu stron, wojujących, ale jest już widoczne, że kapita- lizm światowy jeżeli nie całą władzę, to znaczną jej część straci na pobojowiskach.

Krwawy Mikołaj z całą rodziną — w więzieniu, a jego generałowie, cały legion Kierzeńskich i opiekuno- wie anglosascy na próżno się wysi- lają, by mu z powrotem utorować drogę do tronu.

W Austrii i w Niemczech coraz więcej strajków i buntów wojsko- wych. Wyraźne objawy, że wojna imperialistyczna przekształca się w wojnę klasową, rzucają postrach na- wet na tę część imperialistów, któ- rzy najmocniej dzielą władzę. Jun- krzy pruscy, najbardziej zagrożeni, potrzebują na gwałt nowych dy- wizji, a burżuazja polska, od czasu, gdy straciła opiekę Mikołaja, całą nadzieję pokłada w Wilhelmie II. Rozpoczyna się handel krwią ludu polskiego. Pruski generał-guberna- tor w Warszawie Hans Beseler pro- klamuje „niepodległą” monarchię polską i na razie, zanim tron obej- mie Hohenzolern, obsadza go od razu trzema polskimi królami: ar- cywstecznym klekchą, feudalnym hrabią i szlacheckim burżujem. Kontrrewolucja polska wszelkich odcieni od arcybiskupa Karkow- skiego do „socjalistycznej” piś- daczyny i dasyńszczyzny rozpoczyna na część pruskich sprzymierzeńców dziękczynną wrzawę. Chce nią za- głuszyć wyrazy braterstwa, prze- stane ludowi polskiemu w marcu przez Piotrogrodzką Radę Delega- tów Robotniczych i Żołnierskich, która się przygotowywała do obje- cia całej władzy w byłym państwie carów:

„Carat, który w ciągu półtora wieku dawał zarówno naród pol- ski jak i rosyjski, został obalony wspólnymi siłami proletaria- tu i wojska.

Zawiadaniając naród polski o tym zwycięstwie wolności nad ogólnorosyjskim żandarmem Pio- trogrodzka Rada Delegatów Ro- botniczych i Żołnierskich oznaj- mia, że Polska ma prawo do cał- kowitej niepodległości pod wzglę- dem państwowo - międzynaro- dowym”.

Do polskich więźniów politycz- nych, osadzonych w obozie koncen- tracyjnym w Havelbergu docierały różnymi drogami wieści to obra- żające, to radosne. Rosła w nas po- garda dla polskich eunuchów pru- sactwa, rozpaleni entuzjazm ze zwycięskiego pochodu rewolucji marcowej i wzrastała wiara w szybkie zwycięstwo socjalizmu na całym świecie. W październiku roku 1917 byliśmy jednocześnie obywatel- ami „niepodległej” beselerowskiej Polski i towarzyszami szeregowa- mi przewrotu rosyjskiego, który zmierzał ku Wielkiej Rewolucji Październikowej milowymi krokami. Wiadomości, wylatujące między wierszami prasy niemieckiej, były niekiedy takiej doniosłości, że ula- tniała się w nas potrzeba snu. Ra- dziliśmy w kilkunastu całe noce. Przewodniczył nam honorowo, czu- liśmy to fizycznie, Włodzimierz Le- nin z czołgu przed Dworcem Fin- landzkim w Piotrogrodzie.

Nie wiedzieli o tym Francuzi w sąsiednim baraku i pozwalali sobie na drwiny:

— Jak to — mówili o naszej gru- pie — są obywatelami Polski, za- przyjaźnionej z Rzeszą i siedzą za drutami?

— To Rosjanie o polskich na- zwiskach — informował ich z żółcia zabłąkany endeck z Grajdolka — i wskazywał na kilku wybitnych pi- śsudczyków, którzy znaleźli się w obozie za to, że przymierze polsko pruskie potraktowali na serio. Psa- ło to propagandę kajzerowską. To- też pewnego dnia zakomunikowano nam poufnie przez tłumacza, że ko- mendant gotów nas uwolnić, jeżeli przyrzekniemy nie występować w Polsce przeciwko rządowi niemiec- kiemu. Zwołaliśmy natychmiast na- radę. Większość towarzyszy wypo- wiedziała się przeciw takiemu przy- rzeczeniu. Ja też, ale warunkowo. Po licznych stosunkach z żandar- mami carskimi, po wielu rozma- itych śledztwach i badaniach, na których trzeba było dobrze kłamać w obronie towarzyszy i siebie, za- deklarowałem: „Jeżeli proponują piśmienne zrzeczenie się, odrzucimy je demonstracyjnie i jak najgło- śniej, jeżeli zaś wyrzeczania się mo- żna będzie dokonać mrunknięciem lub gestem, głosując za tym obiema rękami...”

— Co wy, co ty?! — krzyczą w koło.

— Poczekajcie, umotywuje... Nie, musiałem ustąpić powszech- nemu oburzeniu. Głos otrzymuje nasz Złotousty, postawny towarzysz Z., który jeszcze pięknie mówi niż wygląda. Słowa wylatują mu spod języka jak kolibry. Chwilami tak się moralnie uwzniośla, że czeka na jego osobisty zwłot ku niebio- som. „Godność osobista, przekona- nia, uczciwość rewolucyjna wyma- gają prostej strzelistej linii...”

Jakież to szczerzy rewolucjonista nie chciałby być strzelistej uczci- wym? Zdanie towarzysza Z. zdoby- wa ogromną większość. Przed gło- sowaniem otrzymuję jednak głos

da uzasadnienia swego absurdał- nego wniosku, z góry skazanego na odrzucenie. Jestem zirytowany, nie mogę znaleźć szybko dość ważkiego argumentu po wysłuchaniu tyłu wzniosłości. Milczę chwilę.

— No, no! — ponaglają mnie to- warzysze z humorem jako z góry przegranego.

— W roku 1903, w szóstym dniu strajku głodowego w więzieniu piotrkowskim złożył mi wizytę w celi rotmistrz żandarmerii Ploto, i po wyrażeniu ubolewania, prosił o potwierdzenie faktu, który w mych przewinieniach nie miał znaczenia, ale mógł być wykorzystany prze- ciw towarzyszom. Zaprzeczyłem ru- chem głową.

— Słowo honoru? — pyta żan- darm, licząc na moje zamroczenie z wyczerpania i na moją naiwność. — Słowo honoru — wypowiedzia- łem cicho, patrząc z pogardą w je- go oczy.

— Aa, słowo gonoru! — wykrzyk- nał z irytacją i wycofał się za drzwi.

— No, więc co? Czego to dowo- dzi?

— Wyrobiłem sobie zasadę: pra- wdę mówić towarzyszom, jeżeli to nie jest dla nich gorsze niż kłam- stwo. Wrogowi, gdy trzeba, kłamać jak najsukuteczniej.

Wesołość, śmiech, gesty wąpli- wości.

— Dlatego kiwnąlbym tu głową potakująco. Byłbym choć kilka dni w Warszawie i zadrwiłbym głośno z rządu niemieckiego. W pierwszą niedzielę po uwolnieniu urzadzil- bym wiec i powiedziałbym na nim, jaką mamy „niepodległość” i jaką w niej wolność.

— Czy mogę lepiej przejawić uczci- wość rewolucyjną?

— Popiera mnie znaczna mniejszość, ale nieznaczna większość stoi nie- zachwianie przy „uczciwości”.

Po trzech dniach wzywają nas po- jednemu przed komisję, która ma nas warunkowo zwalniać.

Byłem dość popularny w War- szawie, ale w niemieckim urzędzie wywiadowczym robotnik mógł być najwyżej narzędziem inteligencji. Im kto miał wyższe wykształcenie, urzędowo przypieczętowane, tym wyżej go umieszczano w hierarchii rewolucyjnej odpowiedzialności. Nie mnie, lecz towarzysza Z. wezwano pierwszego. Wrócił rozpromieniony. Jest wolny. Nie proponowano mu żadnego warunku. Kilku towarzy- szy, wezwanych kolejno, uwolnio- no podobnie. Idę wreszcie i ja, coś ósmego z rzędu. Za mną jeszcze kil- ku towarzyszy stało w kolejce. Me początkowe zgłoszenie przekształca- ło się w gniew. Siedłem z zama- rem zostania w obozie. Na złość wszystkim. Klnąc przygotowywałem się do nawymyśniania wysokiej ko- misji. „Co, co?! — ćwiczylem się myślą w drodze — zaproponujcie to zdradzieckim wodom socjale- mokracji niemieckiej, ja solidary-

zuje się z grupą Spartakusa! Niech żyje rewolucja!”

Komisja składała się z zastępcy komendanta obozu w randze kapita- na i z trzech starszych panów w cywilnej odzieży. Żadnej urzędowej powagi. Siedzieli za długim ciessel- skim stołem ożywieni wesołą roz- mową. Nikt na mnie nie spojrzał, zajmowali się sobą. Kapitan śmiał się głośno. Z boku przy stole stał tłumacz, chłop niemiecki z okolic Piotrkowa.

— Sprechen Sie deutsch? — pyta wreszcie jeden z komisji i słysząc zaprzeczenie, spojrzał na mnie lek- ceważaco: „Cóż to za wróg, co nie- mieckiego nie zna — mówila jego fizjonomia”. Skinął na tłumacza i zajął się rozmową kolegów.

— Also, uni mówią, bedzieta wolne, zaś ale nie musita godać nic niepotrzebne. Zgodzota się?

Komisja nie zwracała na mnie u- wagi. Odruchowo, w myśl swej za- sady kiwnąłem głową, postanawia- jąc mówić w Warszawie jedynie o rzeczach najpotrzebniejszych.

Wracam, towarzysze otaczają mnie kołem:

— No, jak?

Podczas wojny cisza jest szcze- gólnie miła. Lublin był pełen tej ciszy. Zgiełkiwie życie wojenne omijało to miasto, podobnie jak omijały je transporty wojskowe, przechodzące nie zatrzy- mując się prawie przez dworzec lu- belski.

Dworzec tonął w kłębach macho- rowego dymu, brzęczał maniekami, dudnił tupotem butów żołnierskich i szcękaniem karabinów. Zaledwie jednak weszło się szeroką ulicą do miasta, a cisza i zapach rozkwitłego bzu otaczały człowieka zwartym ko- łem. Zdejmował wtedy czapkę, ocie- riał czoło, na którym twardy otok zo- stał czerwona smuga, wciągał gło- boko powietrze i mówił do siebie:

„Ależ to jakieś chorobliwe majace- zenie! Wojny widocznie nie ma i nigdy nie było”.

Człowiek podnosił głowę i widział, jak nad dachami przelatują jeryki. Lekkie obłoki przypyływały z błękit- nej dali i odpływały w taką samą błękitną dal nie odbierając ziemi ani jednego promienia słońca. Promienie te przedzierały się przez wycięte w kształt serca fście bzu, kładły się na płytach chodników i nagrzewały je słabo, wiosennie.

W parku miejskim orkiestra dęta uczyła się fragmentów operowych. W ciszy zalegającej miasto, dźwięki orkiestry rozchodziły się bardzo dale- ko. Gdzieś w zaułku wiodącym w dół, ku rzecze, można było wśród

— Zażądano, bym nie „godoł” rzeczy niepotrzebnych. Przrzekłem szczerze kiwnięciem głowy.

Wybuch śmiech. Moi poprzed- nicy na komisji śmieją się rza- dziutko, ci, co mieli dopiero pójść — głośno. Wszystkich uwolniono. Towarzysz Z. stwierdził perlistymi słowami, że powzięliśmy uchwale, nie biorąc pod uwagę jednej niewiado- mej. Komisja zachowywała się nie tak, jak sądziliśmy.

Uśmiechałem się. Czyżby mnie tylko wyróżniono? Nie zgadzało się to z zasadami rachunku prawdopo- dobieństwa.

Jedziemy wesoło do Warszawy. Myśli o żonie, dzieciach, towarzy- szach zatrzuwają mi z lekką wyrzu- ty sumienia. Postąpiłem jednak wbrew uchwale. Pocieszam się tyl- ko postanowieniem, że w najbliższą niedzielę zwołam wiec, zgodnie ze swą linią postępowania. Ale ponad wszystkie te codzienne sprawy wy- bija się jedna — wielka. Wszyscy żyjemy bliską przyszłością jakiegoś wydarzenia nad wydarzeniami, jak w przededniu święta majowego w

(Dokończenie na str. 7)

KONSTANTY PAUSTOWSKI

Wiosna nad Wieprzem

Niżej publikujemy rozdział z autobiograficznej powieści Konstantego Pau- stowskiego „Niespokojna młodość”. Powieść ta jest kontynuacją książki „Dale- kie lata”, znanej dobrze czytelnikowi polskiemu. Przyszły nam przez Konstantego Paustowskiego rozdział „Wiosna nad Wieprzem” odnosi się do czasów, kiedy autor w okresie pierwszej wojny świa- towej pracował jako sanitariusz w pociągu przewożącym rannych z różnych miejsc Polski do Rosji.

ogrodzeń o wąskich furtkach usły- szyć z dala dobrze znaną melodię:

„Daleko luby twój, daleko w obcym kraju...”

Nad furtkami wisiały latarnie z kutego żelaza. Spodał sztachet zwisa- ły kiście bzu. I nieustannie, od ra- na do wieczora, dzwoniły srebrne dzwony. Przez drzwi kościółów wi- dać było ołtarze dymiące od świec i przybrane tym samym białym i fio- letowym bżem.

W Lublinie zastała nas Wielkanoc. Święta wyparły zamieszanie i kurz niedawnych walk. Ale w naszym pięknie sprzątniętym i wyszorowa- nym pociągu sanitarnym wciąż je- szcze znajdowaliśmy to wciśnięty za rączkę hamulca kawalek waty, po- kryty skrzepłą krwią, to znów zgry- zione z bólu na miazgę ustniki papie- rosów, które wpadły za przyce skle- cone w pociągu towarowym.

W nocy poszliśmy do kościoła na rezurekcję. Wszystko było bardzo teatralne — koronkowi chłopcy-mi- nistranci, stopy kwiatów przy drewn- ianym Dzieciątku Jezus wystrojo- nym w ołtarzu w niebieski brokat, siwi księża intonujący przez nos pie-

nia religijne, grzmiące dźwięki orga- now.

W oczach modlących się kobiet można było dostrzec jeden tylko wy- raz — namiętne oczekiwanie cudu, gorącą nadzieję, że to rumiane dzie- ciątko i ta blade kobieta o puszy- stych rzęsach — matka Boga-niemo- wienia — sprawią może, iż praca po- nad siły i nędza znikną z powierzch- ni ziemi, a będzie można nareszcie rozprostować plecy nad białą pełną brudnej bielizny i uśmiechnąć się do słońca igrającego w mydlinach.

Pragnienie szczęścia było tak prze- możne, że ludzie starali się przenieść poezję szczęścia na religię, odnależ- ąc tę poezję w łkanu organów, w dy- mie kadzideł, w uroczystych zakle- ciach, w słowach o błogości rajskiej i o czasach pokoju.

W pierwszy dzień Wielkanocy sio- stra miłosierdzia Lola Kraszeninni- kowa, student-sanitariusz Romanin i ja pojechaliśmy do Lubartowa, a tam poszliśmy pieszo ze stacji nad brzeg Wieprza. Rzeka toczyła swe przejrzy- ste wody wśród tanów pszenicy. Za- rośla trziny odbijały się w głębinie niby czarne ściany. Nad zaroślami fruwały małe rybitwy.

Przyjemnie było iść ubitą drogą połą w nieznanym kraju i nie wie- dzieć, dokąd nas ta droga zaprowa- dzi. Po obu stronach kołysały się nie- bieckie kwiaty cykorii. W głębi nie- ba wyrastały w naszych oczach śnieżne zwaly obłoków.

I nikt — ani wówczas nad Wie- przem, ani potem w ciągu całego mo- jego życia — nie potrafił mi wytłu- maczyć, skąd się biorą czasem nagłe porwy szczęścia, mimo że nie dzieje się nic osobliwego.

W owej chwili byłem naprawdę szczęśliwy.

Nad brzegiem Wieprza stała chata kryta słomą. Na płocie wisiały sieci rybackie. Na nich, dzibiąc zeschnie- te wodorosty, siedziały brunatne trzciniczki.

Splotzone przez nas zerwały się z furkotem i obudziły niemowlę, śpiące w koszyku-kołysce na przybzie pod oknem.

Niemowlę zapiakało. Z chaty wy- szła młoda chłopka w krótkiej pasia- stej spódnicy. Ujrzała nas i stanęła, przyciskając ręce do piersi.

Białe pies wylazł niechętnie spod pękniętych niecek, podszed do przy- zby i poziewać zajął ze zdziwie- niem do kołyski. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, pies usiadł i zerkając na nas żółtymi oczami zaczął iśkać się zająle.

— Pójdiesz. Siwy! — rzuciła pół- głosem kobieta.

Wzięła niemowlę na ręce i zwró- ciła się do nas, a twarz jej opromie- nił uśmiech tak serdeczny, że mimo woli uśmiechnęliśmy się także, nie umiając jednak nic powiedzieć, sta- liśmy dalej w milczeniu.

Kobieta zaproponowała nieśmiało, żebyśmy się napili mleka. Dziękując weszliśmy do chaty.

Wszystko tu było drewniane — nie tylko ściany, podłogi, stół, ławki i łóżko — ale również talerze, grzebień na oknie, solniczka i lompka oliwna przed obrazem świętym.

Drewniane te przedmioty potego- wały wrażenie ubóstwa i schłodno- ści.

Lola wzięła dziecko, gospodyni zaś zeszała do piwnicy i przyniosła stam- tad zapoczoną dzban mleka.

Następnie wytarła stół ręcznikiem, mocno się przy tym pochylała, a na jej złote włosy padł odbłask słońca.

Patrzałem na te włosy — cienkie i faliste. Kobieta poczuła mój wzrok i podniosła na mnie oczy — zielonka- we i jakby zawstydzone. Ze spojrze- nia tego i z innych jeszcze dwóch dowodów — opowiem o nich za chwi- łą — poznałem, że w chacie tej mje- szka ciche, ubogie szczęście.

Drugi dowód wisiał pod powalę. Był to mały kandelabr z cienkim świeczkami woskowymi, spiecz... zasuszonych kwiatów. Zamiast lich- tarzy wstawiono do niego duże pu- rupowe główki ostu i do tych główek właśnie przymocowano nie zapala- ne widać nigdy świeczki.

— Co to jest? — zapytałem gospo- dyni. — Jakie śliczne!

— To zabawka — odpowiedziała zmieszana nieco gospodyni. — Nia można jej zapalać. Mój mąż zrobił ją, żeby w chacie było wesele. Jest koszykarzem. Wyplata z wikliny ko- szyki i stołki, a niedawno zrobił dla panny Jaworskiej ze dworu parasol- kę od słońca.

Romanin nie wiedział, co znaczy polskie słowo „parasolka”. Kiedy mu wytłumaczono, roześmiał się, bo ze- stawienie z rosyjskim słowem „zon- tik” wydało mu się zabawne.

Tymczasem drzwi się otworzyły i na progu stanął młody wysoki męż- czyzna. Był to ów trzeci dowód, o którym wspominałem przed chwilą.

Mężczyzna był bardzo chudy i uśmiechał się również nieśmiało jak gospodyni. Na ramiona narzucano miał niedbale skorzany biały serdak, haftowany zielonymi nićmi.

— To Staś, mój mąż — powiedziała kobieta. — On nie jest taki jak wszyscy.

Staś ukłonił się bez słowa, odłożył do kąta wiązkę lyka, usiadł przy stole i nie przestając się uśmiechać przyjrzał się uważnie wszystkim nam po kolei.

Za otwartym oknem śpiewały sko- wronki. Widać było jak trzepocząc skrzydłami wlatują z zielonej psze- nicy prosto w górę i znikają w błę- kicie.

Staś spojrzał w okno i uśmiechnął się życzliwie.

— Nasi pomocnicy — powiedział, — Skowronki.

— Dlaczego pomocnicy? — zapyta- ła Lola.

— Zabawiają ludzi, kiedy ci pracu- ją — odparł Staś z tym samym do- broliwym uśmiechem. — Sam tego nie widziałem, ale powiada, że jest jeden skowronek ze złotym dziób- kiem. To ich wódz.

— Słasiu! — zawołała z wyrzutem gospodyni. — Któż to wymyślił coś podobnego!

— Ludzie tak powiadają — odrzekł Staś. — Może skowronki uratują nas od wojny, jak to było za króla Jan- ka Srogiego.

— Nie trzeba ludziom opowiadać bajek — rzekła gospodyni marszcząc lekko brwi.

Staś nie odezwał się na to. Wciąż tylko uśmiechał się pobłażliwie, bę- niąc cichutko palcami po stole.

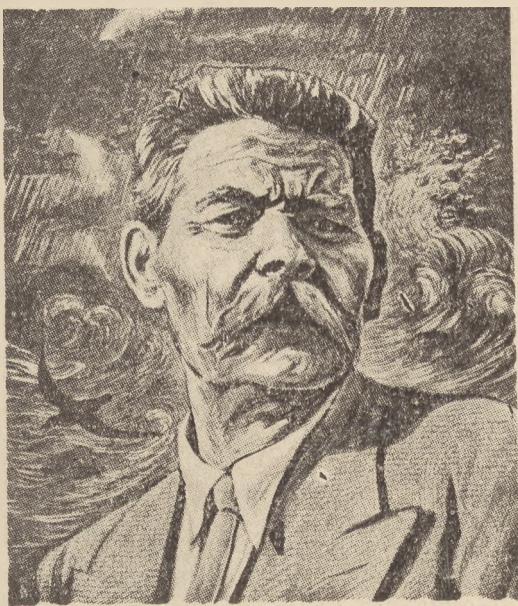
— Trudno — powiedział po chwi- li. — Kto nie wierzy, niech nie wie- rzy. Ale jeśli kto uwierzy, może łat- wiej mu się będzie żyło na świecie.

Król Janko Srogi urządził wyprawę na sąsiednie państwo, a w państwie tym mieszkali sami chłopci — orali ziemię i siali zboże. Wyszl ci chłopci w białych siermiękach, z widłami tylko w ręku na spotkanie rycezy króla, ryceerze zasie byli zakuci w mosiężną zbroję i trabili w mosiężne sumy, a miecze mieli wystrzone z obu stron i mogli jednym ciosem przeciąć wołu. Niesprawiedliwa to była wojna. Taka niesprawiedliwa, że ziemia nie chciała przyjmować krwi ludzkiej. Krew ta jak po szkłe spływała po polach do rzek. Chłopci ginęli setkami. chaty ich płonęły, żony traciły rozum z rozpacz. A był sobie wśród tych chłopów stary gar- bus-muzykant. Miał skrzypceki własnej roboty i grywał na wese- lach. Otóż ten garbus powiada: „Są na świecie różne ptaki, nawet raj- skie, ale najlepszy ze wszystkich jest nasz skowronek. To chłopski ptak. Śpiewa nad zasiewami, a zbo- że wyrasta bujniejsze i gęstsze. Śpie- wa oraczom, żeby im lżej było orać, śpiewa kosiarzom, żeby zagłuszyć brzęk ich kos i ucieszyć ich serca. Skowronki mają swego wodza — młodziutki to ptaszek, najmłodszy, ale ma złoty dzióbek. Warto by,

(Dokończenie na str. 7)

Z listów Gorkiego

DO ALEKSIEJA SURKOWA



7 grudnia 1935, Tesseli.

Drogi tow. Surkow — w planie swego referatu piszecie, że po- zycja Wasza jako referenta jest „deli- katna i drażliwa”. „Drażliwość” wynika stąd, że „trudno oderwać referenta od człowieka mającego swoje poglądy na swoistość procesu rozwoju poezji radzieckiej”. Tymi słowami stwierdzacie niejako, że proces roz- woju poezji radzieckiej przebiegał gdzieś poza ra- mami ogólnego procesu wzrostu kultury intelek- tualnej kraju — wyżej, bardziej na lewo czy na prawo. Musicie z całkowitą ścisłością określić, jaka jest zawartość tych „swoich” poglądów i czym się ta zawartość różni od wspólnego dra- matu większości poetów i prozaików naszych czasów od nader szablonowego dramatu demo- kratów, którym historia każe być rewolucjonista- mi? Tym właśnie dramatem tłumaczę — i niczym innym nie potrafie wytłumaczyć — „pstrokaciz- me i chwiejność nastrojów”, „hypertrofie momen- tu osobistego”, tudzież innych grzechów i scho- rzeń, w jakie rzeczywistość obfituje nasze środo- wisko literackie. Jestem całkowicie przeświad- czony, że schorzenia owe wymagają ścisłej dia- gnozy, a następnie leczenia. I dlatego nie pochwa- lam Waszego zamiaru „nierozniecania niepo- trzebnego płomienia uraz i kwasów”. Jak to „niepotrzebne”? My musimy dyskutować, to- czyć spory, to jest konieczne, trzeba wyjaśnić,

o co chodzi. Dlaczego poezja i proza tak nie na- dążają za nastrojami ludzi, których energia pra- cy i patos pracy „przeobrażają świat”, i to nie tylko w granicach Związku Socjalistycznych Re- publik Rad?

My żyjemy sobie bardzo spokojnie, nieprzy- zwoicie spokojnie, a tymczasem robotników i kolchoźników uprawia w ruch piękny rewolu- cyjny i twórczy niepokój...

„Powiadacie, że trudno jest „pogodzić zasady estetyki z momentami celowości politycznej”. Drogi mój tow. Surkow, trudność ta nie dałaby znać o sobie, gdybyśmy umieli odczuć cudowną, rozpalającą duszę urodę życia, płomienny wy- buch twórczych sił życia w naszym Związku Ra- dzieckim i odróżający tragizm położenia burzu- azji na Zachodzie i na całym świecie...”

„Zasady estetyki” znakomicie jednoczyłyby się z „celowością polityczną”, gdyby. była w nas nie- nawiść rewolucyjna, choćby owa jej doza, jaką miał w sobie Verhaeren czy bodaj Baudelaire. Gdy człowiek mówi szczerze, to jest to prawie zawsze dostatecznie piękne, „estetyczne”. Umie- my nienawidzić się wzajemnie, odziedziczyliśmy te po mieszczaństwie, ale pogłębić i rozszerzyć tej nienawiści na cały wrogi nam świat — tego nie potrafimy. Nie słyszy się we współczesnej poezji muzyki nienawiści. Umiął głosić ją Majak- owski, ale też jakby tylko dlatego, że był ogrom- nego wzrostu, i gniewało go, że nie może stanąć sobie wygodnie, bo sufity przeszkadzają.

„Otworła się możliwość stworzenia pozytywnych postaci i optymistycznych utworów bez za- dawania gwałtu rzeczywistości”, piszecie. Czemu się obawiacie zadawania gwałtu rzeczywistości? To wcale nie takie straszne i bardzo pozytywne. Prawdziwa sztuka zawsze wybiorzmyła albo po- mniejsza. W pierwszym przypadku usiłuje ona wyciągnąć człowieka za uszy w górę, a to jest gwałt, w drugim — daje mu po łbie, a żeby się ocknął albo szezeł.

Cały plan Waszego referatu napisany jest tak, że bynajmniej nie wynika zeń fakt „zespolenia się subiektywnych interesów jednostki z obiek- tywnymi interesami większości ludzi”. Chcielibys- cie, żeby tak było, ale tego jeszcze nie ma. A gdy- by było, to musielibyscie zaplanować referat ina- czej, bez sceptycyzmu, który przeziara z niego bardzo wyraźnie — bez sceptycyzmu i w tonie twardszym, bardziej stanowczym.

W najbliższym czasie wyjdą z druku w ZSRR ostat- nie trzy tomy wielkiego 30 tomowego wydania zbro- rowego Pisan Gorkiego, zawierające przeważnie nie publikowaną dotąd korespondencję pisarza. Zamiesz- czony powyżej (ze skróta) list Gorkiego do Surko- wa publikujemy za czasopiśmie „Kommunist” Nr 15.

WALENTY OWIECZKIN

Sprawy dnia powszedniego

Deszcz lał przez trzy doby z rzędu. W ciągu trzech dni słońce zaledwie parę razy wyglądało zza chmur, ale nie zdążyło wysuszyć nawet dachów, a tym bardziej pól, na których tu i ówdzie w dolinach stała woda jak na łąkach w czasie wiosennych powodzi.

W gabinecie drugiego sekretarza Komitetu Rejonowego siedział przewodniczący przodującego, najbogatszego w całym rejonie kolchozu Władza Rad" Demian Wasiliewicz Opionkin — otyły, z wielkim brzuchem, wasaty, siwy, krótko ostrzyżony, w mokrym płóciennym płaszczu. Przyjechał konno. Wierchowiec jego, rosły kasztan, rasowy ogier, stał nierozsiodłany pod daszkiem na dziedzińcu Komitetu Rejonowego. Niespokojnie rzucał łbem i usiłując zerwać trezle rżał. Opionkin, z trudem obracając tłustą szyję, od czasu do czasu spoglądał przez ramie w okno na wierchowca.

Sekretarz Komitetu Rejonowego Piotr Ilarionowicz Martynow przechadzał się po gabinecie, bezszelestnie stąpając ciężkimi butami po miękkich dywanowych chodnikach.

— Więcej ziarna z ciebie nie ściągniemy — mówił. — Ty się już rozliczyłeś. Nie po to cię wezwałem, Demianie. Jesteś najstarszym przewodniczącym, doświadczonym gospodarzem. Poradź, co można zrobić w taką pogodę na polu? Trzy tysiące hektarów jeszcze nieskoszone. Co można forsować poważnie? Tak, by ludzie w kolchozach nie śmiali się z naszych telefonogramów?... Wczoraj w „Nakazach Iljicza” zobaczyłem na biurku u przewodniczącego własny telefonogram — i, przyznaję ci się, wstyd mnie ogarnął. Żądamy puszczania wszystkich maszyn w ruch, a sam przyszedłem do nich plechotą, mój „gazik” ugrzązł w polu, musiałem prosić o woly, by dobrać do wsi.

— Bo też rozkiszło...
— Kosz. sierpem. Nie wzięlibyśmy przy takiej pogodzie, co?..

— Ja, Larijonyczu, nie mam doświadczenia jak po błocie sprzątać zboże z pola — uśmiechnął się Opionkin. — Nasz kolchoz zawsze za pogodą zdążył się ze żniwami sprawić... Znać można sierpami, ale co dalej? Zwalisz zboże w błoto. Jeżeli takie deszcze zaciągają się na dłużej — ziarno zgnije... Porwie diabeł uźdę. — Opionkin ciężko obrócił się na skrzypiącym krześle w kierunku okna, pchnięciem ręki otworzył je na oścież. — Stać, Kallian! Ja ci!.. Spozstrzegł przechodzącego przez dziedzińiec koniucha Komitetu Rejonowego: — Nikitcz! Zobacz tam, czy nie zerwał uźdę...
Martynow podeszedł do okna.

— Gdzieście kupili tak pięknego konia?

— W stepach salskich. Budionowska rasa, wyprowadzona z dońskiejskiej. Silne konie. Najlepsze pod wierzech.

— Zastał się. Trzeba go częściej przejeżdżać.

Toteż przejeżdżam. Wczoraj jeździłem na nim do sowchozu uprawiającego rośliny kauczukodajne. Waży sto dwadzieścia kilo. Obciążenie niezłe.

— A czemu ty, Demianie, tak potwornie tyjesz? — Martynow poklepał Opionkina po brzuchu. — Już się upodobałeś do kulaka.

— Sam nie wiem. Larijonyczu, co mnie rozpiera. — Opionkin rozłożył ręce. — To nie ze spokojnego życia. Po rozszerzeniu kolchozu wpadłem w istny młyn. Cztery tysiące hektarów, osiem brygad. Im więcej się przejmuję, tym więcej tyję.

— Podjęś sobie lubisz?

— No, apetyt mi służy, nie mogę narzekać...

Wiatr chłustał przez okno strugami wody, deszcz kropił papiery leżące na parapecie. Opionkin zamknął okno. Martynow odsunął się, przysiadł na brzegu stołu.

— A nie stanie się znowu tak, jak w zeszłym roku? — Opionkin podniósł na Martynowa swe czarne, mądre, nieco zmęczone oczy.

— Jak to „jak w zeszłym roku”? — Nasi sąsiedzi wyciągną siedemdziesiąt procent... i kropka, a nam znowu wyznaczają dodatkowe centnary.

— W dostawie ziarna? Nie, co do tego mamy teraz bardzo surowe przepisy... Może poprosimy was tylko, tytułem pożyczki. W twoim kolchozie dużo ziarna zostało, a inni na razie nie mają wymłóconego.

Zawleczesz za nich, a potem ci oddadzą.

— No właśnie. — Opionkin zakręcił się na krześle skrzypiącym pod jego ciężarem. — Właśnie mówię, że na pewno coś wymyślicie. Nie kijem, to pałką. W ciągu tych lat po wojnie, tak się już u nas zadłżyły inne kolchozy. Ze też nie ma na mnie dobrego rewizora! Dawno już należało mnie oddać pod sąd za udzielanie zbyt wielu pożyczek... Tysiąc cetnarów winni nam kochani sąsiedzi. I w ramach dostaw państwowych dawaliśmy za nich ziarno i im samym na siew pożyczaliśmy. A oni — ani palcem nie kiwną. Spróbujesz pytać przewodniczących: „Kiedy w was, braciażkowie, sumienie się odezwie i oddacie?” Śmieją się: „W komunizmie” — powiadają — rozliczymy się”. A moim zdaniem — Opionkin wzburzony wstał i ciężko sapiąc, stukając połam mokrego, zeszywanego płaszcza o oparcia krzesła, zaczął chodzić po gabinecie — moim zdaniem, komunizmu nie będzie dotąd, dopóki nie zlikwidujemy tego przekłębego pasożytnictwa. Niech wszyscy budują komunizm. A nie tak: jedni budują, pracują, a drudzy chcą na cudzym garbie do królestwa niebieskiego wjechać!..

— Czekaj no, nie denerwuj się, Demianie Wasiliewiczu — rzekł Martynow. — Może obejdziemy się bez pożyczek.

— Jakże tam pożyczki. Mówcie prosto: prezenty. I w tym roku nikt nam nie odda nic ze starych długów, ani jednego grama. Przyjdą do was, rozplacą się i sami przeciw nam powiecie: „Odrozcie trochę termin, nie ściągacie z nich należności. Mało im ziarna zostało. A muszą przeciw coś wydać na dniówki obrachunkowe i zachować na siew”.

Przystanął przed Martynowem — wysoki, ciężki, na grubych, szerokorozstawionych nogach.

— Nie sądzę, Piotrze Larijonyczu, że skąpie. Dlaczegoż nie pomóc kolchozowi, skoro na ludzi spadło nie-szczęście — powiedzmy, grad albo powódź. Wyjdziemy naprzeciw, z otwartym sercem. Ale jeżeli jedynym ich nieszczęściem jest to, że brygadziści z przewodniczącym na czele lubią o rannym brzasku poleżeć sobie na miękkich piernatach — to pożyczki tu nie pomogą!.. Nie o własny kolchoz mi chodzi. My nie zbiedniejemy. Ale to przecież nie jest wyjście z sytuacji. Nigdy nie poprawicie stanu zaniedbanych kolchozów — jatkuną i pobłażliwością!..

— Ja również nie jestem zwolennikiem takich metod podciągania zaniedbanych gospodarstw — odrzekł Martynow patrząc Opionkinowi prosto w oczy, oczy mądre, które dużo widziały w ciągu piętnastu lat jego pracy na stanowisku przewodniczącego kolchozu. — W ten sposób rzeczywiście nie zaprowadzimy porządku w kolchozie i nie dźwigniemy rejonu... Dodatkowego planu ci nie narzucimy. Pod żadnym pozorem.

Opionkin z niedowierzaniem pokręcił głową.

— To na razie, dopóki pełnisz funkcję pierwszego sekretarza, Larijonyczu. Ale kiedy przyjedzie Wiktor Siemionycz? Powie: „Ano, przyjdźmy jeszcze Demiana Bogatego!”

— Spróbujemy przekonać i Wiktora Siemionycza. To najłatwiejszy sposób: przyduś ciebie i innych, którzy wyknali plan przedterminowo.

— Kiedy on kończy urlop?

— Jeżeli nie przedłuży mu kura-cji — przyjedzie w sobotę.

— No więc, odpocznie po podróży jakis dwadzieścia i zacznie szaleć!

Martynow nic nie odpowiedział, podeszedł do okna i skierował rozmowę na inny temat.

— W każdym razie źle jest zorganizowana gospodarka w naszych kolchozach. Deszcze rozpadają się nie w porę — i stajemy bezradni. A jeżeli taka pogoda potrwa jeszcze parę tygodni?... Trzeba budować dziesięć razy więcej suszarek ziarna, krytych gumien. Może należałoby też stawiać suszarnie na snopy.

— Dawniej takie szopy chłopci nazywali rygami.

— Nie szopy — choćby tylko brogi, słomiane strzechy na słupach. Prymitywniejsze, a więcej.

— Bez ścian — jeszcze lepsze — przyznał Opionkin.

— Wietrzyk

przewiewa, szybciej suszy... Inna jest teraz powierzchnia zasiewów, Larijonyczu. Dawniej gospodarz miał wszystkiego pięć dziesięcin do ob-siania. A teraz, spróbuj nabudować takich ryg na cztery — pięć tysięcy hektarów.

— Toteż właśnie mówię — ciągnął dalej Martynow. — Wszystko trzeba planować na zupełnie inną skalę. Polecamy kolchozowi zbudować trzy suszarnie ziarna. A trzeba trzydziści, pięćdziesiąt!.. Raz bije nas posucha, to znowu deszcze paraliżują żniwa, niszczą gotowe plony. Kiedyż to wszystko się skończy?... Widzę, Demianie Wasiliczu, że nie bardzo to ciebie obchodzi. Myślisz pewnie: mnie starczyło dwa tygodnie bez deszczu, żeby przeprowadzić żniwa. No, wiesz, ty także nie pusz się za nadto. A gdyby deszcze zaczęły lać już od pierwszego dnia żniw? Też krzychałbyś „gwałtu, rety!” Choćby się to miało zdarzyć raz na dziesięć lat — i tak na wszelki wypadek powinniśmy być gotowi.

Opionkin słuchał słów Martynowa spokojnie, z uśmiechem.

— Przygotowujemy się i na taki rok, Larijonyczu. Dziesięciu ludzi z naszego kolchozu już trzeci miesiąc pracuje przy obróbce budulca w obwodzie kirowskim. Piętnaście wagonów drzewa dostaliśmy stamtąd, a wyładujemy jeszcze trzy razy więcej. Wystarczy i na elektrownię, i na świetlicę, i kryte gumnia, i na suszarnie.

— Wam wystarczy!..

— Wytlumaczę ci, Larijonyczu — rzekł po chwili milczenia Opionkin — dlaczego w naszym kolchozie praca idzie składnie, ludzie zgodnie zabierają się do każdej roboty. Dlatego, że kolchoz jest bogaty, na

dniołki obrachunkowe przypada dosyć i w ziarnie, i w pieniądzech. U nas najcięższą karą dla człowieka jest uchwała zarządu usuwająca go od pracy na parę dni.

Martynow roześmiał się.

— To mi dopiero wyjaśnienie. A kolchoz jest bogaty, bo ludzie zgodnie pracują...

— Tak — uśmiechnął się Opionkin. — Tak to już jest, jak koło się rozpędzi... Ale przeżyliśmy też nie mało trudności. Kiedyś w czasie wojny przyjechał do mnie Michał Kudriaszow, przewodniczący „Falli rewolucji” — nie pamiętam już, w jakiej sprawie. Zabrałem go na obiad do siebie. A u mnie — czarny chleb na stole. „Jak ci nie wstyd?” — mówi Kudriaszow. — Jesteś przewodniczącym, a nie umiesz żyć. Nie potrafisz bodaj dla siebie nic zorganizować”. A czegoż miałem się wstydzić? Czaszy były ciężkie, wojna. Dostawiliśmy półtora tysiąca cetnarów ponad plan na rzecz Armii Czerwonej. Sami dostarczyliśmy, dobrowolnie. Zdecydowaliśmy, że przeżyjemy. Do chleba domieszmaz ziemniaków, tego, owego — wytrzymamy. Zeszłego lata wstąpiłem do nich do „Falli”. Jaki chleb miał na stole Kudriaszow — nie wiem, ale kolchoźnicy, wszyscy — czarny. I proszą by pożyczyc im ziarna siewnego... A u nas już który rok wsiwscy jedzą biały chleb, jak przed wojną. „Czy ci — powiadam — teraz nie wstyd? Gdybyś wtedy nie robił różnicy między sobą a innymi ludźmi i jadł czarny chleb, może poniosłaby ciebie złość i dołożyłbyś większych starań, żeby jak najprędzej pokonać trudności!” Kolchoz, według mego rozumienia — nie tylko dla nas — przewodniczących, nie dla naszego wystawnego życia. Kiedy wszystkim jest dobrze, to i nam...

„Po wyjęciu Opionkina Martynow długo myślał o tym człowieku. Gdyby wszyscy przewodniczący kolchozów w rejonie byli tacy. U niego „koło się rozpędziło” — kolchoz jest bogaty i dlatego ludzie dobrze pracują. A w niektórych kolchozach także „koło się rozpędziło”, tylko w odwrotnym kierunku, na dniówkę obrachunkową — nędzne okruciny, ponieważ były niskie urodzaje, kolchoźnicy źle pracowali, a źle pracowali, bo w ubiegłym roku otrzymali mało ziarna na dniówki obrachunkowe. To już nie koło, ale błędny krąg. Ale ten krąg trzeba rozzerwać, rozzerwać za wszelką cenę. Kto może tego dokonać? Tacy oto ludzie, dla których dobro społeczne jest równie drogie jak własne... W ziemi Martynow był w kolchozie „Władza Rad” na zebraniu sprawozdawczow wyborczym. Kiedy ponownie wysunięto kandydaturę Opionkina na przewodniczącego, jeden z kolchoźników nazwał go w swym przemówieniu „szczerym komunistą”.

Wydawszy młodym komunistom legitymacje partyjne i porozma-

wawszy z nimi o sprawach kolchozów, Martynow pozamykał na klucz szuflady biurka, włożył płaszcz, ale ledwie zdążył wyjść na korytarz, gdy zawraczał odjeżdżający sprzed Komitetu Rejonowego samochód i na ganek wszedł pewnym krokiem gospodarza Borzow, średniego wzrostu, barczysty, o niezdrowej, żółtawej cerze, w mokrym od deszczu, długim, sięgającym niemal do pięt, skórzanym płaszczu.

— A więc, jesteś we własnej osobie — powitał go Martynow, zatrzymując się w korytarzu. — Nie spóźnialiśmy się już ciebie. Dzień dobry!

— Cześć pracy! — podał mu rękę Borzow.

— A pracujemy. A ty co. — Konstytucję łamiesz? Nie wykorzystujesz w pełni prawa do odpoczynku?

— Akurat odpoczniesz. — Borzow zdjął kapelusz, otrząsnął go z wody, rozpiął mokry płaszcz.

— Wstąpimy do gabinetu?

— Wstąpimy na chwilę. Nie byłem jeszcze w domu... Akurat odpoczniesz. — Borzow zdjął przy wieszaku kalesze i płaszcz, podeszedł do stołu, ale nie usiadł w fotelu sekretarza, lecz z boku na krześle. — W takim czasie jedynie durnie jeżdżą na wczas lecznicze. Przez radio nie innego się nie słyszy, tylko: sprzet zboża, dostawy ziarna, siew ozim. O naszym obwodzie „Prawda” trzy razy już wspominała w artykułach wstępnych, że zalega z dostawami.

Martynow również nie usiadł w fotelu, stał przy oknie. Był chudy, nieco przgarbiony, wyższy od krępego, ostrzyżonego Borzowa, miał opaloną twarz, niebieskie oczy i dawno nie przycinaną, gęstą czarną czuprynę, spadającą falistic na kark i skronie. Różnica wieku między tymi dwoma mężczyznami wynosiła jakieś osiem lat: Martynow miał trzydziści pięć, Borzow przekroczył czterdziestkę.

— Sam jesteś temu winien — odparł Martynow. — Trzeba było pojechać na wiosnę, kiedy kończyły się akcje siewna. Mówiłem ci wtedy: proś o skierowanie i jedź, podlec się.

— Kończyliśmy akcję siewną, zaczęła się plenie. Czyż z naszego młyna można się kiedykolwiek wyrwać? A w zimie też się nie bardzo uśmiecha wyjazd do udroż-wiska... No, dość już tego, opowiadaj, co słychać?

— Kiedy przyjechałeś? Pociąg przyszedł o trzynastę czterdziest.

— Z dworca wstąpiłem do elewatora. Nie telefonowałem o samochod, bo nawinał mi się „gazik” dyrektora MTS. Skontrolowałem w elewatorze, jak idą odstawy ziarna. Żle idą, Piotrze Ilarionyczu.

— Tak, można by lepiej... Przed tymi deszczami utrzymywaliśmy harmonogram.

— Jakże mogliście utrzymywać harmonogram, jeżeli już od dobrego tygodnia trzy wasze kolchozy —

„Władza Rad”, „Czerwony Październik” i „Jutrzenka” nie biorą udziału w dostawie ziarna.

— Inne kolchozy przekraczały plan dzienny. A „Władza Rad”, „Październik” i „Jutrzenka” już się rozliczyły.

— Jak to rozliczyły się?

— Tak, w stu procentach. Dostawili już nawet zakładkowe ziarno, tytułem wynagrodzenia dla MTS za orkę jesenną.

Borzow popatrzył na Martynowa z politowaniem:

— Tak samo mówisz przewodniczącym: „Rozliczyliście się?... Ech, Piotrze Ilarionyczu! Bez końca trzeba by cię uczyć i uczyć! Gdzie masz zestawienie zbiorcze kolchozów?”

Przesiadł się na miejsce sekretarza, energicznym ruchem odsunął od siebie wszystko co zbędne — lampę, popielniczkę, szklankę z niedopitą herbatą. Na biurku pod grubym szkłem leżał duży arkusz papieru pokryty liniami wykresów, upstrzony cyframi: powierzchnia zasiewów w poszczególnych kolchozach, pogłowię bydła, plany dostaw. Martynow mimo woli uśmiechnął się na wspomnienie słów Opionkina: „Odpocznie jakieś dwie godzinki i zacznie szaleć”...

— Tak, widzę, że słusznie zrobiłem przyjeżdżając. — Borzow wziął czysty arkusz papieru, ołówkę, przesunął palcem po szkle. — „Władza Rad”. Ile oni mieli? Tak... Dostawę na rzecz państwa i wynagrodzenie MTS w naturze... Tak. To według stawek siódmej grupy. Komisja zaliczyła ich do grupy siódmej na podstawie plonów. A gdyby im przyznać grupę dziewiątą?..

— Najwyższa?

— Tak, najwyższa. Co z tego wynika? Obliczamy... Według stawek grupy dziewiątej na Demiana Bogatego wypadnie około półtora tysiąca cetnarów. A na „Jutrzenkę” — jakieś osiemset. I na „Październik” tyle samo. Widzisz? Dzieciak z ciebie. Nie wiesz, jak wyciągnąć od nich ziarno.

Martynow, nie przestając się uśmiechać, podeszedł do biurka.

— Nie jestem dzieciakiem, Wiktorze Siemionyczu. Znam te sztuczki. Ale czas by już z nimi skończyć, naprawdę! Na jakiej podstawie proponujesz przeliczyć im świadczenia w naturze według wyższej grupy?

— Na tej podstawie, że kraj potrzebuje ziarna!

Martynow zapalił papierosa i przez chwilę milczał, starając się zapanować nad sobą i nie wybuchnąć.

— Plony we „Władzy Rad” rzeczywiście są wyższe, niż w innych kolchozach. Mimo wszystko jednak na dziewiątą grupę nie wyciągnęli. I zebrał zboże dobrze, czysto, bez żadnych strat. A że na dwóch polach pszenicę ozimą i jęczmień prychwycił im grad — nie ich wina. Dłaczęgoż teraz mamy ich przydzielić do dziewiątej grupy, i

STANISŁAW RYSZARD

Wśród ludzi

jako pisarza powinien szczególnie zaciekać. To niepospolita postać!

Rzeczywiście towarzyszy Orłowski, przewodniczący kolchozu „Brzask” („Rasswiet”) nie jest pospolitą postacią i dziejów jego życia też nie sposób uznać za codziennie.

Pułkownik Orłowski, Bohater Związku Radzieckiego, został w jednej z bitew ostatniej wojny bardzo ciężko ranny. Stracił prawe ramię i kilka palców lewej ręki. Gdy wyszedł ze szpitala już po zakończeniu działań wojennych, wyrzili nieoczekiwane życzenie. Prosił, aby mu pozwolono opuścić Moskwę, gdzie miał piękne mieszkanie, samochód do dyspozycji i niezbędne dla sturutowanego przez wojenny los inwalidy, wygodne warunki życia. Chciał uciec się na wieś, by podjąć pracę w jednym z dziedzicowanych, zniszczonych przez najednika kolchozów. Odwołano mu. Jego decyzję uznano po prostu za szaleństwo a samego Orłowskiego za ofiarę wojny...

Nie dziw więc, że kiedy przed niewielu tygodniami przyszło mi jechać — po raz trzeci już zresztą — do ZSRR, on właśnie stanowił główny przedmiot mojego zaciekania i — co ważniejsze — na postawione dzisiaj pytanie, co wywarło na mnie najpotężniejsze, niezatarte wrażenie w ZSRR, odpowiedział bez jednej chwili namysłu: człowiek radziecki.

Pełen najwyższego uznania i zachwytu dla jego wielkich dzieł, ja jego wspaniałych osiągnięć — dla budownictwa komunizmu, wspominając teraz swoją ostatnią podróż do Kraju Rad, zwracam się myślą wciąż i przede wszystkim do niego, do twórcy tych dzieł.

Mówiąc po prostu: opowiadał o moim umysłu i mocno chwycił mnie za serce.

Spróbujmy, oddalając się od ogólników, pomówić o nich — o konkretnych ludziach radzieckich, z którymi niedawno się zetknąłem, byłym ich gościem jak przyjacieli, do twórcy tych dzieł.

Przed wyjazdem z Mińska na wieś — do najslawniejszego z kolektywnych gospodarstw wiejskich Białorusi, kolchozu „Rasswiet” — uprzedzono mnie:

— Zwróćcie tam uwagę na osobę przewodniczącego kolchozu, Was

mu wszelkiej współpracy. Ale pułkownik Orłowski — jak to już zdaliśmy zauważyć — był człowiekiem twardym, upartym w realizowaniu podjętych przez siebie zamiarów. Nie ustąpił. Postarał się o trochę bydła dla kolchozu i o nieco narzędzi. Niestety, nikt nie chciał zajmować się kolchozowym bydem i zawzięty kolchoznik musiał sam pędzić je na pastwisko wśród drwin zdemoralizowanego przez wojnę i okupację chłopstwa. Kładł się spać ostatni, pierwszy we wsi dźwigał się rano z barłogu najbardziej, jaka tam była, ziemianki. Nie zwracając pozornie uwagi na nic i na nikogo, robił swoje tak długo, aż znalazł zrozumienie u kilku bardziej rozsądnych, bardziej uświadomionych obserwatorów jego bohaterstwa — nie lekaliśmy się wielkich słów — ofiarnych wysiłków. Zaimponował im. I nie tylko zaimponował. Chwycił ich za serce i porwał za sobą. Reszta poszła już łatwiej, choć nie sądzimy, że zupełnie już łatwo. Łatwiej.

Dzisiaj po niewielu przelecie latach kolchoz „Rasswiet” jest dumą Białorusi. Należy do najpiękniejszych, najlepiej zagospodarowanych gospodarstw rolnych ZSRR. Zwiadałem ten kolchoz.

Nie jestem specjalistą od zagadnień wiejskich. Ale umiem rozróżnić plewę od ziarna.

Dzisiejszy kolchoz „Rasswiet” zrzesza chłopów z około dwudziestu wsi. Liczba jego mieszkańców sięga około pięciu tysięcy. Gospodarstwo kolchozowe dysponuje znacznym zasobem energii elektrycznej. Jest prawie całkowicie zmechanizowane. Jego dochód w przyszłym roku ma wynieść 20 mln rubli. Wysooko wynagrodzeń za pracę kolchozników osiągnęła już poziom wynagrodzeń pracowników naukowych w Białoruskiej Socjalistycznej Radzieckiej Republice. A to jest bardzo dużo. W kolchozie — przy tej dziś już ogromnej fabryce zboża, mięsa i kultur przemysłowych, zatrudniającej około półtora tysiąca pracowników, wśród których nie brak wybitnych, wysokokwalifikowanych fachowców, jest pięć szkół, w tym jedna dziesięcioklasowa ogólnokształcąca. Jest, oczywiście, i klub, i ogromna biblioteka, i dom kultury z salą teatralną obliczoną na paruset widzów,

Poziom życia kolchoźników w kolchozie „Rasswiet”, ich warunki materialne i kulturalne wniosły się ponad przeciętny poziom życia mieszkańców miast.

Pułkownik Orłowski osiągnął swoje. Otacza go dzisiaj powszechny szacunek w Republice i wielka, bezgraniczna miłość oraz oddanie mieszkańców kolchozu.

Ale Orłowski nie spoczął na laurach i wraz ze swoimi półtoratysięcznym kolektywem współpracowników, na śmierć i życie teraz już oddanych sprawie rozwoju kolchozu „Rasswiet”, idzie dalej i dalej.

Mieliśmy dość okazji do rozmów z towarzyszem Orłowskim — i w polu, i w oborach, i chlewniach, i za biesiadnym stołem w klubie kolchozu i na koncercie, jaki nam dali kolchoźnicy w swoim domu kultury, ognisku ich twórczej działalności artystycznej.

Pytaliśmy go o sekret powodzeń jego i jego współpracowników pracy. Kusila nas chęć przeniesienia tego sekretu do naszego życia, do życia naszej młodej, ludowej ojczyzny.

Pytanie właściwie postawione było niepotrzebnie. Mogliśmy sami na nie sobie odpowiedzieć. Ciekawili nas jednak, jak on na nie odpowie.

Mówił długo i pięknie, nie bez poetyckich metafor, o dwóch zasadach wiodących człowieka do zwycięstwa — o żarliwości w walce o szczęście ludzkie i o żelaznej dyscyplinie pracy.

Dzisiaj, gdy go wspominam, jawi mi się przed oczyma jako jeden z bohaterów powieści Stefana Żeromskiego. Jakże mi ich bardzo przypomina! Tyle tylko, że tamci spalali się w beznadziejnych płomieniach fantazji, pozbawieni warunków, jakie dla Orłowskiego, dla szlachetności jego wlotów stworzyła Wielka Rewolucja Październikowa.

Ona to uokreśliła jego romantyczną fantazję, z marzyciela uczyniła twórcę.

Może ktoś powiedzieć, że to co piszę — to idealistyczne właśnie majaczenia.

A jakże!... Jedźcie do kolchozu „Rasswiet” i porozmawiajcie z Orłowskim.

Pojedźcie pod Śluc do kolchozu im. Feliksa Dzierżyńskiego i poroz-

to w dodatku wstecz? Co Opionkin powie kolchoźnikom?

— Niech sobie mówi co chce. Nam potrzebne jest ziarno. Co się nad nim użalas. Stary żubr! Wykręci się! Da sobie radę!

— Wiem, że przekona kolchoźników, dostawią zboże. Ale wytłumaczenie jest tylko jedno: ściągamy z nich ziarno za te kolchozy, w których gospodarka jest bez głowy i panuje bałaganiarstwo.

Do gabinetu wszedł przewodniczący Rejonowego Komitetu Wykonawczego Iwan Fomicz Rudienko, w samej bluzie wojskowej, bez czapki. Przebiegł tylko przez podwórze. Rada Rejonowa mieściła się tuż obok, w sąsiednim budynku.

— Czołem, Wiktorze Siemionyczu! Witaj! Patrzę przez okno — znajomek idzie w górę po schodach. Przerwałeś urlop?

— Czołem, Fomiczu. Skróciłem. Rudienko obrzucił wzrokiem chmurną, gniewną twarz Borzowa i nerwowo przygryzającego usnik papierosa Piotra Ilarionycza.

— Z miejsca „do galopu”, czybyście się posprzeczały? Może wam przeszkodziłem?

— Nie. — Borzow wyszedł zza biurka, nie patrząc na Rudienkę przysunął mu krzesło. — Siadaj. No, mów dalej, Martynow.

— Cóż mam mówić dalej. — Martynow zgasił niedopałek w popielniczce i wstał. — Jako członek egzekutywy głosuję przeciw.

Zwrócił się do Rudienki. — On proponuje przyznać dziewiątą grupę Opionkinowi i innym, którzy wykonali plan.

— No-o? — mruknął przeciągle Rudienko. — Trzeba by nad tym pomyśleć...

— Żeby w tych kolchozach, gdzie ludzie uciążliwie pracowali i tam, gdzie pracowali byle jak, przypadała na dniówki obrachunkowe taka sama ilość ziarna... Ja także wiem, Wiktorze Siemionyczu, że kraj potrzebuje zboża — podjął Martynow.

— I plan rejonowy zobowiązani jesteśmy wykonać. Ale wykonać go można rozmaicie. Można wykonać tak, że chociaż gdzieśgdzieś nawet kruchobędzie potem z ziarnem, ludzie będą musieli przyznać: tak, to właśnie jest sprawiedliwość radziecka. Nasi agitatorzy będą mieli grunt pod nogami, kiedy zaczną mówić do chłopów: „Coście zapracowali, to macie!” I niech sobie tuż obok, we „Władzy Rad” kolchoźnicy dostaną trzy razy więcej ziarna! Na tym trzeba budować politykę! A można wykonać plan tak, że... — Martynow machnął ręką i zaczął przechadzać się po gabinecie.

— Tak, Wiktorze Siemionyczu, trzeba uważać, żeby przypadkiem nie zarżnąć kurki, co znosi złote jajeczka — rzekł Rudienko.

Borzow znów usiadł za biurkiem.

— Dobrze. Obliczymy, ile zdołamy dostawić z innych kolchozów, pozostawiając te w spokoju. —

Przesunął palcem po pierwszej kolumnie z nazwami kolchozów. — Który wzmniemy? Co, na przykład „Świt”. Ile mają w dniu dzisiejszym wymłóconego ziarna?

— W ogóle nie ma — odrzekł Martynow. — Zanim rozpadły się deszcze, dobrze zwozili, sprzątali wszystko co wymłócili w ciągu dnia. Skoszone zboże mają w stogach. Na pniu zostało jeszcze jakieś dziesięć procent.

— Ich nacięła MTS — dodał Rudienko. — Dali im młodych kombajnistów, z kursów. Maszyny nowe, a więcej stały niż pracowały.

— Tak, a zatem w „Świcie” obecnie ziarna nie ma. A z dostaw wywiązali się?

— W sześćdziesięciu procentach — podpowiedział Rudienko.

— A w „Czerwonym Oraczu” jak?

— Taka sama sytuacja.

— A „Nasza Droga”?

— Tam sprawa gorzej wygląda.

— Martynow podszedł do biurka.

— Na pniu około 30 procent, a to, co skoszone, nie złożone w stogi...

— Nie mają przewodniczącego... — dodał po chwili. — Do najbardziej zaniedbanego kolchozu posłaliśmy naj

mniej wartościowego człowieka. Za karę czy co? Za to, że zawałił robotę w kombinacie wytwórczym?..

— Tak... A „Druga Pięciolatka”?

— Mają dużo ziarna wymłóconego

— rzekł Rudienko — ale na polu leży, w kupach. Trzeba suszyć.

— Więc po kiego diabła mówicie mi tu o sprawiedliwości, o polityce?

— Borzow uderzył brzegiem dłoni o stół. — Gdzie jest zboże? Takie zboże, żeby je można było zaraz, w tej chwili ładować na samochody i wieźć do elewatorów?

— W tej chwili, powiedzmy, samochodem zboża się nie zawiezie.

— Martynow ruchem głowy wskazał okno, za którym deszcz lał jak z cebra.

— Przystanie padać — to w ciągu jednego dnia przeschnie. Ale co tymczasem? Ci „wykonali plan”, umyli ręce, sprawozdanie rejonowe tyle ich obchodzi co zeszłoroczny śnieg, tamci nie mają wymłóconego...

Sądźcie, że Komitet Obwodowy zgodził się czekać spokojnie, podczas gdy my tu tę waszą idealną sprawiedliwość wprowadzać będziemy? Co realnie zdołamy nadrobić w ciągu tych pięciu dni? Czym wykazemy się w sprawozdaniu? Po—li—ty—cy...

— Gdyby się miało realizować dostawy bez polityki, to i sekretarz komitetu rejonowego są niepotrzebni. Byle jakim agentom można to powierzyć — odparł Martynow.

— Widzę — rzekł Borzow — że główną przeszkodę w obecnych dostawach ziarna w rejonie stanowią ty sam, towarzyszu Martynow. Sam się zdemobilizowałeś i studzisz zapal innych. „Wykonaliście plan!” Dokonujecie rozkładu organizacji partyjnej.

— No, tu już się trochę zagalo-

powaleś. Wiktorze Siemionyczu — marszcząc czoło Rudienko poruszył się niespokojnie na krześle.

Martynow usiadł, zwichrzył ręką włosy, odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał badawczo na Borzowa. Jego opalona twarz przybladła. Ale powiedzieć nic nie zdążył. Borzow zadzwonił, do gabinetu wszedł zastępca sekretarza, młody płowłosy chłopak, Sasza Trubicyn.

— Przyjechaliście, Wiktorze Siemionyczu?

— Ano, przyjechałem. Dzień dobry. Siadaj, pisz... „Do wszystkich dyrektorów MTS, przewodniczących kolchozów, sekretarzy kolchozowych podstawowych organizacji partyjnych... Skandaliczne zapóźnienie rejonu w sprzęcie zboża i wykonaniu planu dostaw ziarna tłumaczy się wyłącznie waszym karygodnym niedbalstwem i całkowitym zlekceważeniem interesów państwa”... Napisałeś? „Poleca się pod osobistą odpowiedzialnością, niezwłocznie, z chwilą otrzymania niniejszego telefonogramu, włączyć do pracy wszystkie kombajny i prostsze narzędzia”... Napisałeś? „Zapewnić dwudziestoczęterogodzinną pracę młocarni... Zagwarantować wykonanie zadań dziennych w zakresie dostaw ziarna, przy jednoczesnym nadrobieniu w ciągu najbliższych paru dni zaległości z ubiegłej pięciodniówki... Wykorzystać przy dostawach ziarna wszystkie posiadane samochody i furmanki... W razie niewykonania polecenia będziecie pociągnięci do surowej odpowiedzialności wobec władz partyjnych i państwowych”... Podpis: „Borzow”... — Spojrzał spod oka na Iwana Fomicza — i „Rudienko”, Rudienko machnął ręką.

— A niech tam!

— Jeden egzemplarz tego telefonogramu zachowaj — zwrócił się Martynow do Trubicyna. — Może kiedyś opublikują zbiorowe wydanie naszych dzieł.

Sasza Trubicyn zatrzymał się w progu i zdziwiony spojrzał pytająco na Martynowa.

— Idź, przepisz na maszynie! — rzekł Borzow. — Nadać telefonogram tak, żeby za godzinę był we wszystkich kolchozach!

Trubicyn wyszedł.

— Posyłaś tę „błyskawicę”, by uspokoić własne sumienie? — spytał Martynow. — Że to jednak coś robiliśmy, pisaliśmy papierki, posyłailiśmy standartowe telefonogramy...

— Napisz ty coś oryginalniejszego. Pokaż, co umiesz, literacie — z wymuszonym spokojem odparł Borzow i zwrócił się do Rudienki. Chciał wdać się z nim w rozmowę, zagadnąć o coś, ale ten nie odpowiedział mu na pytanie, ruchem głowy wskazał Martynowa.

— Nie, lepiej posłuchaj, Wiktorze Siemionyczu, co on radzi.

— Cóż takiego?

— Oto co! — Piotr Ilarionowicz przysunął się z krzesłem do Bo-



M. MANIZER. „KATARZYNA” FRAGMENT POMNIKA SZEWCZENKI W CHARKOWIE

rzowa. — Żerdzie, suche gałęzie w lesie podczas deszczu rabać można? Można. Otwarte szopy kryć słomą można? Nieprzyjemnie, oczywiście, wody za kołnierza się naleje, ale można. Na froncie budowlaliśmy przeprawy w ulowę i pod obrzabłem. Samochodu nie namówisz by pracował w błocie, ale człowieka namówić można. Oto na co należy obecnie położyć nacisk!

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — odrzekł Borzow.

— Właśnie, że przeszkadza! Jeśli nabijemy przewodniczącemu kolchozu głowę rozmaitymi bzdurami — to słuszną radę puści mimo uszu. „Włączyć do pracy wszystkie

kombajny”. To przecież czcze gadanie — takie telefonogramy! — wybuchnął w końcu Martynow. — W takim razie wal już wszystko! i oziębnie polecamy siad bez względu na deszcz, i orkę jesienną wykonywać...

— A my nie otrzymujemy takich telegramów z Komitetu Obwodowego? Nie dzwonią do nas: „Dlaczego nie siejcie?” A u nas na polach śnieg jeszcze po kolana.

— Obwód jest rozległy. Tu — śnieg, tam — ciepło, ówdzie — deszcze, a jeszcze gdzieś indziej — posucha. Ale my tu cały teren mamy przed oczami!... Wiesz, Wiktorze Siemionyczu, czego nie mogą ścierpieć rolnicy w naszych dyrektywach? Nonsensów. Oni przecież nie gorzej od nas znają się na rzeczy.

Borzow odezwał się dopiero po dłuższej chwili, dużym wysiłkiem woli nadając swemu głosowi nieco cieplejsze brzmienie:

— Z całego serca radzę ci, Piotrze Ilarionyczu, jedź ty do Komitetu Obwodowego, poskarż się na mnie, nagadaj co ci się żywnie podobą, ale powiedz, że razem pracować nie możemy. Niech cię przeniosą do innego rejonu. Ja ze swej strony będę sugerował, by ci powierzono stanowisko pierwszego sekretarza. Zresztą w naszym Komitecie Obwodowym zwykle tak się właśnie robi. Jeżeli gdzieś drugi sekretarz nie zgadza się w robocie z pierwszym, chce sam grać pierwsze skrzypce, a chłopak niby energiczny — posyła się go w charakterze pierwszego sekretarza do innego rejonu, poddaje próbę: ano, pokaż, bracie, jak dasz sobie radę z samodzielną pracą?... Jedź, porozmawiaj! Kiedy chcesz, choćby dzisiaj! Dadzą ci rejon, może w najbliższym sąsiedztwie. Staniemy do współzawodnictwa. Obejmij kierownictwo! Ty z tą swoją chłopską sprawiedliwością, a ja — po proletariacku.

— Tfu! — zachnął się Rudienko. — Do czego wy się jeszcze dogadacie? Po proletariacku, po chłopsku! Nawet nie ma takich określeń. Kierować trzeba po bolszewicku!

— Ani ja nie chcę przenosić się do innego rejonu — rzekł Martynow — tu już poznałem kolchozy i ludzi, ani też nie pretenduję do pierwszych skrzypiec. Zło zrozumiałeś mnie, Wiktorze Siemionyczu. I na stanowisku drugiego sekretarza dość mam roboty. Ale nie jestem obywatelem Milczkiem, że-bym „nie śmiał mieć własnego zdania”.

Wstał, włożył czapkę.

— Chodźmy na obiad. W zdrowym ciele — zdrowy duch. Maria Siergiejewna przychodziła tu, czeka na ciebie z obiadem, dostała twoją depeszę... Ogłosiłem na dziesiątą godzinę posiedzenie egzekutywy. Nie zmienisz?

— Nie, dlaczegożby — odparł Borzow. — Zabierzemy się do roboty.

Zatelefonował do zastępcy.

— Wezwąć na zebranie egzekutywy wszystkich pełnomocników przydzielonych do kolchozów.

✱

Maria Siergiejewna usiadła przy stole naprzeciwko gościa.

— Wiesz, dlaczego cię prosiłam? — Jej szczerą, wesołą twarz o figlarnych piegach i łobuzerskich

zmarszczkach pod oczami spoważniała. — Chciałam dokończyć rozmowę, zaczęłą wtedy w Komitecie Rejonowym... Jedź, Piotrze Ilarionyczu. — Przysunęła mu talerz z serem, salaterką, chleb. — Czego ci nalać? Ja jestem znad Donu, z okolic, gdzie uprawia się winorośl, u nas pije się czyste wino.

— Wszystko jedno. Nalej według własnego gustu.

Maria Siergiejewna napełniła dwie lampki białym winem.

— Wytłumacz mi, co właściwie jest między tobą a Wiktozem Siemionyczem?

Martynow nie od razu odpowiedział.

— Długo by trzeba o tym mówić, Mario Siergiejewno... Ale przecież sama bywasz na pienach, na zebraniach aktywu partyjnego...

— On mi mówi: „Martynow rwie się do władzy, chce mieć głos decydujący w organizacji, chce mnie stać wygrzyść”.

— Wierzyś w to?

— Nie, nie wierzę.

— Trudno i darmo — uśmiechnął się Piotr Ilarionowicz. — Tak, istotnie, uważam, że on się do roboty partyjnej nie nadaje. Postaram się dowiedzieć tego również w Komitecie Obwodowym.

— Ach, tak...

— A że ja chcę mieć głos decydujący, że rwę się do władzy — to bzdury... Zresztą, może skierują tu innego towarzysza jako pierwszego sekretarza. Czemu nie miałbym pozostać na tym terenie w charakterze drugiego? Bardzo chciałbym popracować z naprawdę wartościowym człowiekiem, nauczyć się od niego niejednej rzeczy. Ale od Borzowa nie ma się czego nauczyć, Wybacz, Mario Siergiejewno...

Wypił parę łyków wina.

— W trzydziestym ósmym roku pobraliście się?

— Poznaliśmy się. Małżeństwem jesteśmy od trzydziestego dziewiętego... Dwunasty rok razem żyjemy.

— A kiedyż przenieśliście się tu znad Donu?

— On walczył w tych okolicach. Był zastępcą dowódcy pułku, oficerem politycznym. Po wyzwoleniu obwodu zostawiono go na miejscu... Tutaj jesteśmy już w trzecim rejonie. A wszystkie rejony takie same — ani dobre, ani złe. Żaden nie wysunął się na czołowe miejsce.

— Widocznie w tamtych rejonach również miał tę samą kłódę u nóg — kolchozy zaniedbane. Z takim obciążeniem wysoko się nie wzleci...

Powiedz mi, Mario Siergiejewno, do czego ty właściwie zmierzasz? Chcesz pogodzić nas? Ale myśmy się przecież wcale nie kłócili, to nie jest sprzeczka handlarzy na rynku.

— Nie, widzę, że o zgodzie między wami mowy być nie może... Chciałabym sama zrozumieć — o co się spieracie?

— No cóż... Gdybyś nie była dawną Maszą Gromową, może nie mówiłbym ci tego wszystkiego, co powiem. Ale ty nie należysz do owych wielkich pań, które znają wiesz jedynie przez mleczarki. Sama wyrosłaś w kolchozie.

— Oho! — uśmiechnęła się Maria Siergiejewna. — A to ci wielką panią znalazłeś. Ileż razy proponowałam Wiktorowi Siemionyczowi: wyznacz mnie do komisji kontroli re-

(Dokończenie na str. 6)

DOBROWOLSKI

Kraju Rad

mawiające z towarzyszem Truskowem, przewodniczącym tamtego drugiego kolchozu. I zestawie ich sobie w myślach. Jacyż oni do siebie podobni i zarazem jakże bardzo do siebie niepodobni — inni!.. Každy z nich to indywidualność.

Orłowski — fantasta, wcielający z zaciekłym uporem w realne życie wizję swojej bujnej, niemal artystycznej wyobraźni. Interesujący przedstawiciel znanego nam typu niespokojnej inteligencji. Gdy mówi — mówi nie jak rolnik, mówi jak poeta.

Truskow — syn-chłopa i sam typowy chłop. Oszczędnym w słowach, niezmiernie konkretny, prawie chłodny w tej swojej powściągliwości w mowie. Na pytania odpowiada krótko i rzeczowo. Opanowany, w ryzach wewnętrznej dyscypliny wydaje się chwilami pozornie ciosany z kamienia. Ale nie dawajcie się uwodzić pozorom. Ten kamień jest w swoim wnętrzu nagrzany do niebyłej jakiejś temperatury żarliwości.

Dla niego, który tu czuje się gospodarzem odpowiedzialnym nie tylko za kolchoz im. Feliksa Dzierżyńskiego ale i za cały swój naród i za przyszłe szczęście całego społeczeństwa — szczęście człowieka stanowi alfę i omegę jego osobistego bytu tak, jak i dla Orłowskiego, jest na pewno najistotniejszym sensem jego życia.

W podawanych ze źle ukrywaną dumą cyfrach osiągniętej wydajności z hektara czy też liczbach wyhodowanego pogłowia wyraża się tu zdyscyplinowana namietność człowieka, jego oddanie dla wielkiej sprawy budownictwa komunizmu, dla niecierpliwej sprawy przyspieszania marszu do owego oczekiwanego dnia ostatecznego zwycięstwa prawdy i piękna w życiu.

W Mińsku odwiedziłem znakomitego białoruskiego rzeźbiarza Zaira Isaakowicza Azgura. Na zaproszenie artysty odwiedziłem go najpierw w jego pracowni — później w jego domu. Mieliśmy okazję do wielu serdecznych, przyjacielskich rozmów — u niego i gdzie indziej. Nagadaliśmy się do syta.

W swojej pracowni pokazywał Azgur mnie i Juliuszowi Krajewskiemu, z którym się zaprzyjaźnił jeszcze w latach minionej wojny, dawne i nowe swoje prace, •

Nie spuszczałem go wtedy z oka. Świetny portrecista i twórca monumentalnych posągów, czterdziesto- sześćdziesięcioletni autor paruśet prac rzeźbiarskich chodził pomiędzy świeżo ulepionymi realizacjami swoich wizji jak tamci w kolchozach po swoich gospodarstwach — szczęśliwy, że mu dane jest tworzyć życie, że jak i tamci może służyć swoim talentem i upartym, codziennym wysiłkiem — co dzień bywa w pracowni — tej samej i z taką samą żarliwością traktowanej, wielkiej sprawie.

Ulice Mińska i ulice i place wielu, wielu innych miast Kraju Rad zdobia jego dzieła rzeźbiarskie. Tworzył je z myślą o szczęściu i radości człowieka. I dlatego sam jest pełen szczęścia i radości. Myśli o przyszłości do nas. Chce do nas przyjechać. Nie na długo. Nie rozporządza wolnym czasem. Chce przyjechać na trzy tygodnie do Warszawy. Prosi, aby mu na ten czas odstąpiono w Warszawie jedną z pracowni rzeźbiarskich, by mógł wykonać kilka portretów swoich polskich przyjaciół i pozostawić je nam w upominek. To wszystko.

W ubiegłym roku ofiarował miastu Sofii pomnik wielkiego bułgarskiego pisarza i poety Iwana Wazowa. Sprawili mu to wielką satysfakcję i myśl o tym raduje go jak dziecko.

W pewnej chwili ścisza głos. Dzieło się z nami swoimi artystycznymi marzeniami. Pragnie wnieść już nie monumentalny, lecz gigantyczny pomnik — wykuć kompozycję, która symbolizowałaby przyjaźń narodów. Chce ją wnieść gdzieś na granicy trzech państw — może tam, gdzie się zbiegają granice Polski, Ukrainy i Białorusi, gdzie u skrzyżowania dróg na wielkim nasypie, aby ją wszyscy mogli widzieć z dalekich odległości dziesiątków kilometrów.

Mówi o tym swoim marzeniu jako o sprawie zupełnie konkretnej, mającej w najbliższych już latach wszystkie szanse praktycznej realizacji. To nie żadna fantasmagoria maniaka. Zair Isaakowicz Azgur, ludowy artysta Białoruskiej Socjalistycznej Radzieckiej Republiki, laureat Nagrody Stalinowskiej wie, że pracując dla narodu i ludzkości, ma za sobą potęgę wielkiego narodu stu

narodów, który może, gdy zechce, stworzyć artystycznie warunki dla realizacji najśmielszych twórczych zamysłów. Przecież Kraj Rad buduje komunizm!..

W pracowni rzeźbiarskiej Azgura wznosimy kilichy wypełnione radzieckim szampanem za bliską realizację największego dzieła życia naszego przyjaciela.

Przecież Orłowski, przystępując niewiele lat temu do realizacji swojego wielkiego snu o szczęściu chłopów białoruskiego, dysponował o wiele skromniejszymi środkami niż te, które dzisiaj już stoją do dyspozycji ludowego artysty Białorusi — Azgura. A przecież uparł się i osiągnął swoje.

Azgurowi nie brak ani tej żarliwości ani wewnętrznej dyscypliny, które zdecydowały o triumfie Orłowskiego. A więc i on też dopnie swego.

Zestawiam sobie dzisiaj w myślach ich obu. Jacyż oni podobni do siebie i zarazem niepodobni. Ten białoruski gospodarz, który dla szczęścia innych poświęcił — jak Judym z „Ludzi bezdomnych” — swoje osobiste nazwisko, prywatne szczęście i ten szczęśliwy jak dziecko artysta, który marząc o wielkim szczęściu ani myśli rezygnować z najdrobniejszych radości życia. O jednym tylko pamięta, że dla osiągnięcia celu swojego życia musi dzień w dzień z żelazną dyscypliną przychodzić do swojej pracowni.

Wielkie czy małe są dzieła człowieka — nie to jest chyba tu ważne. Ważny jest ów żar, który go popycha do działania i wysokość temperatury jego żarliwości.

W małym miasteczku powiatowym w Nowogródku, budowniczy Jan Sałasz prezentował nam z serdecznymi błyskami w oczach swoje maleńkie dzieło — odbudowany po barbarzyńskim zniszczeniu go przez hitlerowców rodzinny dom Adama Mickiewicza.

Sałasz przebudowywał go kiedyś, gdy drewniany walił się ze starości, na murowany w stylu epoki — epoki, która wydała genialnego twórcę „Pana Tadeusza”.

Teraz po zwycięskiej wojnie, na triumfie narodów radzieckich nad faszyzmem, na zlecenie władzy radzieckiej odbudował go z pietyz-

mem, jaki matka ma dla swego dziecka.

Będzie tu muzeum poświęcone pamięci geniusza polskiego narodu i wszystkich ludów, które tak jak on — budowniczy z Nowogródka, prosty człowiek radziecki — kochał prawdę i piękno i gotowi poświęcić życie dla szczęścia ludzkości, jak je poświęcił redaktor „Trybuny Ludów”.

Sałasz cieszy się, że w przyszłości miliony ludzi dobrej woli oglądać będą jego dzieło, pielgrzymując do kolebki Adama Mickiewicza. Cieszy się swoją myślą i swoim skromnym dziełem tak samo, jak cieszy się w swojej wspaniałej pracowni rzeźbiarskiej w Mińsku Zair Isaakowicz Azgur myślą o tych milionach ludzi szczęśliwych i swobodnych, zbratanych na wieki ludzi, którzy będą spoglądać na jego monumentalny pomnik przyjaźni stojący u granic narodów. Raduje się, jak raduje się Orłowski, że już milionów ludzi oglądają piękny film o pięknym życiu w kolchozie „Ras-swiet”, jak raduje się Truskow w kolchozie im. Feliksa Dzierżyńskiego koło Słucka z niezliczonych odwiedzin ludzi poszukujących wzoru dla przebudowy życia na wsi, jak się radował z naszych odwiedzin.

Czyż skromny budowniczy z małego miasteczka, jakim jest Nowogródek, przypomina w czymś odnagrodzonego Nagrodą Stalinowską, błyskotliwego artystę, członka moskiewskiej Akademii Sztuk Plastycznych?

Chyba tak, choć przecież nie są do siebie podobni jak dwa schematyczne wyobrażenia o człowieku radzieckim.

Są różni — każdy z nich jest jakąś tam indywidualnością, nosi w swoim sercu i umyśle własne, niepowtarzalne cechy, różnią się nawet zewnętrznie — jeden w długich butach i szarym, zapiętym pod szyję płaszczu jesiennym, drugi — z artystycznym fontazem z fantazją związanym pod szyją i w równie fantazyjnie przekrzywionym kapeluszu. A jednak. Jacyż są do siebie podobni.

Aż nazbyt łatwo z każdego z nich bez szczególnie wnikliwej analizy wydobrzeć ten zespół wspólnych cech, które czynią z nich ludzi radzieckich.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Sprawy dnia powszedniego

(Dokończenie ze str. 5)



N. KASATKIN: KOMSOMOŁKA (OŁÓWEK 1925)

iontu traktorów. Możesz być pe-
len, że jakikolwiek traktor przy-
— zaores ci w ciągu sezonu ty-
hektarów!

— Nie o to chodzi, że zmasz się na
maszynach rolniczych i gospodarce
wiejskiej, ale sądzę, że to wszystko
jest ci drogie, bliskie.

— Cała moja rodzina mieszka w
kolchozie. Matka, babka, dwaj bracia,
trzy siostry... Do dziś dnia kol-
choźnicy z naszego rejonu piszą do
mnie listy. Wszystkimi radościami i
troskami się dzielą...

— Trochę nieładnie to wypadło —
podjął po dłuższym milczeniu Mar-
tynow — że wszczęliśmy rozmowę
o Borzowie podczas jego nieobecno-
ści. Ale powiem mu to też i pro-
sto w oczy. Zresztą mówiłem już
nawet... Jeżeli będziesz musiała zdać
mu sprawę z dzisiejszego wieczoru,
możesz powtórzyć wszystko słowo w
słowo... Czy nigdy — kiedy już prze-
żyłaś z Borzowem jakiś czas i po-
znałaś go bliżej — nigdy nie przy-
chodziło ci na myśl, że ten człowiek
przejmuje się, zabiega, naciska, że-
by orać pole w jesieni, zwozić zbo-
że, wykonywać wszelkie plany, abo-
czy sam bierze sobie to wszystko
bardzo głęboko do serca? Ze kraj
potrzebuje ziarna i to potrzebuje
bardzo dużo. Ze ziarno przyda się
nam również i w przyszłym roku,
nie żyjemy jednym dniem. Ze jeżeli
w którymś kolchozie nie przepro-
wadzi się orki jesiennej — to na
wiosnę będzie tam ludziom ciężko.
Ze za wszystkimi naszymi sprawo-
zdaniami i cyframi kryje się do-
bre lub złe życie ludzi... A może on
tylko o sobie myśli? Jeśli nie wy-
konamy tego a tego, i tego a tego —
to w Komitecie Obwodowym wy-
tworzy się zła opinia o rejonie i o
nim, sekretarzu. Na jego służbową
reputację padnie cień.

— Straszne rzeczy mówisz, Pio-
trze Ilarionyczu — odrzekła zamy-
ślona Maria Siergiejewna.

— Sama sprowokowałaś mnie do
tej rozmowy, więc teraz słuchaj...
Co zaszło między nami? O co się
spierało? Mnie się wydaje, że o
to, co najważniejsze... Dlaczego nasz
rejon jest przeciętny? Czyżby
wszystkie nasze kolchozy miały
przeciętne wyniki produkcji? Gdy-
by tak było — można by jeszcze
cierpieć. Ale nie. W rejonie
są kolchozy bardzo bogate, sil-
ne — i słabe. Otóż właśnie
z tych krańcowych przeciwności
my wyprowadzamy średnią —
ową przeciętność. Myślę, że ta-
kiego rozwarstwienia nie było na-
wet w dawnych czasach. Oczywiście,
w każdej wsi istnieli wyrobnicy,
średniacy i kulacy — ludzie żyli
rozmaicie, ale pomiędzy wsiami na-
leżącymi do jednej gminy nie było
nie mogło być takich różnic jak
obecnie: jeden kolchoz ma trzy mi-
liony dochodu, a inny, tuż obok —
trzysta tysięcy. Obszar zasiewów ta-
ki sam i gleba jednakowa, ten sam
klimat, to samo słońce świeci, ta
sama MTS daje maszyny — i taka
różnica. Kiedyż my dotrzemy do
przyczyn i położymy kres tym roz-
bieżnościom? A czasu upłynęło już
niemało od chwili, gdy zaczęliśmy
organizować kolchozy. Była wojna,
okupacja, zniszczenie — ale i woj-
na dawno się skończyła... Wiktor
Siemionycz nie lubi, kiedy się mó-
wi: „kolchoz pozostający w tyle” —
prostuje: „kolchoz, który został w
tyle”. Ze to niby nie jakaś choro-
ba chroniczna, lecz zjawisko chwi-
lowe: dziś „został”, a jutro dopę-
dzi inne. Ale ludziom żyjącym w
tych kolchozach, które „zostały w
tyle” od czterdziestego trzeciego ro-
ku, wcale nie jest źle przez to, żeś-
my sprecyzowali definicję...

I jakże my teraz dźwigamy owe
kolchozy? Ano tak — odcinamy po-
ły, łatamy rękawy. W ubiegłym ro-
ku w pięciu kolchozach zostało w
stertach niewymłócone zboże, a
„Władza Rad”, „Człowiek pracy” i
„Zwycięstwo” wykonywały za nie
dostawy. I „jako pożyczkę”, i „na
rachunek przyszłego roku”. Kiedyś
takie rzeczy nazywano się niedole-
stwem. W ten sposób można położyć

robotę i w przodujących kolchozach.
Najlepszym kolchoźnikiem opadają
ręce — cóż to, mamy całe życie
pracować na próżniaków? — Dość
tego, niech ludzie tam, w zanied-
banych kolchozach wypiją swój kiel-
ich do dna. Żle pracowaliście? No,
to otrzymujcie też liche dniówki o-
brachunkowe. A o krok od was, we
„Władzy Rad” — należy wydać kol-
choźnikom po pięć kilogramów ziar-
na... Niech tamci poczną na wła-
snej skórze swą winę, ale my tak-
że powinniśmy uświadomić sobie
własne błędy. Czy nie należało dać
takim kolchozom naprawdę warto-
ściowych kierowników? Przecież
grunt — to przewodniczący. Żaden
przysłany pełnomocnik, uzbrojony
w najdalej idące uprawnienia, nie
wprowadzi w kolchozie porządku,
jeżeli nie ma tam odpowiedniego
kierownika. Czyż spośród trzydzie-
stu tysięcy mieszkańców rejonu nie
możemy wybrać trzydziestu dobrych
przewodniczących?.. To ciekawe,
Mario Siergiejewno. — Martynow
nagle rozeźmiął się, odrzucił głowę
na oparcie krzesła, zwichrzył swe i
bez tego zwichrzone już włosy. —
Do wszystkich kolchozów posyłamy
pełnomocników — na to ludzi nam
nie brak. I mieszkają tam miesiąca-
mi, przez całe lato. A życie bez nich
w mieście rejonowym toczy się
zwykłą koleją, wszystkie biura pra-
cują. No, skoro posyłamy kogoś w
charakterze pełnomocnika, znaczy,
liczymy na to, że człowiek ten po-
prawi sytuację, że jest mądrzejszy
niż miejscowy przewodniczący. Mo-
że by więc zostawić go w danym
kolchozie na stałe? Tym bardziej, że
jego biuro bez niego pracuje nie
gorzej niż z nim... Skądinąd, biur
tych namnożyło się ostatnio u nas
do licha i trochę. „Skup lnu”, a tuż
obok „Skup konopi”. Nie można by
to jakoś jednym sznureczkiem zwią-
zać ich razem — mniejsza o to lnia-
nym czy konopnym?.. Toteż, mó-
wię, na występy gościnne na wsi
ludzi jest dosyć, a na stałą pracę
dobrac nie możemy. Czasem znów
narzucamy kolchozowi na przewo-
dniczącego takiego nieponia, jakiego
nie powinniśmy się dopuszczać do go-
spodarstwa społecznego — na odle-
głość armatniego strzału...

— Może Borzow nie zna dobrze
kadr?

— Przecież od tego trzeba zaczy-
nać. W dzień ze świecą wyszukiwać

najlepszych ludzi. Bez kadr diabli
nas wezmą... I na miejscu, w kol-
chozach trzeba dalej prowadzić po-
szukiwania. Pomimo wszystkich no-
wych wytycznych w sprawie obsa-
dzenia stanowisk przewodniczących
specjalistami z wyższym lub śred-
nim wykształceniem, nikt nam prze-
cież nie powiedział, że mamy ograni-
czyć awans społeczny...

W zimie, kiedy wszędzie w na-
szych kolchozach odbywały się ze-
brania sprawozdawczo - wyborcze,
opowiedziałem Borzowowi o nastę-
pującym wydarzeniu — ciągnął da-
lej Martynow. — Było to w jednym
z rejonów obwodu N. Przyjeżdżałem
tam nieraz, kiedy pracowałem w re-
dakcji gazety obwodowej. W rejonie
tym był niesłychanie zaniedbany
kolchoz „Siewca”. Po prostu nie
wiedzieliśmy już co z nim robić. Zmie-
niło się tam z dziesięciu przewod-
niczących, ale żaden nie dał sobie
rady. Dyscypliny brak, ludzie do
roboty nie idą, wszyscy handlują na
targu, urodzaj lichy, dniówki obra-
chunkowe oblicza się w kopiekach.
Wzięła tam górę warstwa zdzierców
— wydrwigroszów. Obsładą nowego
człowieka, albo spoją go, albo w ja-
kieś szachrajstwo wplączą, albo do-
prowadzą do tego, że sam rzuca
wszystko, całymi dniami kryje się
przed ludźmi, ani w domu nie mo-
żna go znaleźć, ani w biurze, spi-
gdzieś w polu pod stertą, machnął
na wszystko ręką — pracujcie sobie
jak chcecie... Jedzie do „Siewcy”
pełnomocnik, by przeprowadzić na-
stępne z kolei zebranie sprawo-
dawczo - wyborcze. Sekretarz Ko-
mitetu Rejonowego mówi mu: „Nie
wiem już, czyją kandydaturę wy-
słać. Samego siebie, czy co, albo
może zastępcę przewodniczącego Re-
jonowego Komitetu Wykonawczego?”
Tylko nas dwóch jeszcze tam nie
było. Przyjrzyj się uważnie ludziom,

Ale nie wszyscy się śmieją. Wielu
kolchoźników poważnie proponuje
Sierpana Gorszkowa.

Sierpan siedzi na pierwszej ław-
ce: w starych, rozdeptanych bucio-
rach, jedna nogawka spodni rozdar-
ta, aż po kolano, na głowie czapka
milicyjna — kiedyś jeździł do mia-
sta, służył tam w milicji, lecz po-
tem wrócił do kolchozu. Pracował
przy przyczepie w brygadzie trakto-
rowej, pracował dobrze, dniówek o-
brachunkowych wyrabiał dużo, ale
otrzymywał za nie w tym kolcho-
zie nie było co. A rodzina — chora
żona i siedmioro dzieci.

„Sierpana Gorszkowa!” — woła-
ją. „Czy garnek?”, czy donica —
wszystko jedno!” A pełnomocnik
spędził w tym kolchozie przed ze-
braniem dwa dni i także zwrócił u-
wagę na Gorszkowa. Zaczął od wy-
kazów. Widzi, że Sierpan ma dwa
razy więcej dniówek obrachunko-
wych niż inni kolchoźnicy. Co to
za człowiek. Nikt mu nic złego o
Gorszkowie nie powiedział poza
tym, że z wyglądu niepozorny, spo-
dnie ma na sobie liche. Ale, zajęty
pracą kolchozową, może po prostu
nie miał czasu pojechać na bazar...
Przy wtórze śmiechu i żarcików do-
chodzi do wyborów — Gorszkow
prosi o głos, wstaje: „Towarzysze,
Zanim nie będzie za późno, zanim
nie przegłosowaliście mojej kandy-
datury — zastanówcie się lepiej. Za
zaufanie dziękuję, ale mimo wszyst-
ko pomyślcie jeszcze. Zebyście po-
tem nie żalowali. Może ten i ów go-
rzej na tym wyjdzie”. I usiadł. Żar-
townie nie dają za wygraną: „Nie
będzie gorzej! Gorzej być nie mo-
że!” „Dalejże, do głosowania!”
Przegłosowali. Wybrali Sierpana
Gorszkowa na przewodniczącego
kolchozu.

Nazajutrz Gorszkow przychodził do
zarządu, by przejąć urzędowanie od

PLATON WOROŃKO

POETA

Mikołaj Bażanowi
w pięćdziesięciolecie urodzin

Równo kroczy,
Bez zrywów i zwrotów
Poeta natchniony, dojrzały,
Brzegiem skrzydeł, ruszając do lotu,
Dusz ludzkich nie trąca, niedbały.

Ale z wyżyn rzetelnych swych przeżyć,
Z uczucia, co w żyłach wezbrało,
Ludziom w oczy spojrzawszy najszczerzej,
Poezję tka: piękną i trwałą.

Mocną, szorstką nam daje tkaninę,
Jak płótno najlepsze, niezdatne,
Lniany ręcznik, co z chwały rodzinnej
Przez okno powiewa otwarte.

Przełożył z ukraińskiego Eugeniusz Żytomirski

Może na miejscu jest jakiś chłopak
z głową na karku? Wysłuchano
sprawozdania zarządu, usunięto
przewodniczącego, kolchoźnicy pyta-
ją pełnomocnika: „Czemuście niko-
go nie przywieźli ze sobą? Na kogoś
będziemy głosować?” Pełnomocnik
powiada: „Nie będziemy już wam
wielce przywozić przewodniczących.
Kolchoz jest wasz, wy w nim ma-
cie życie — myślcie sami, sami wybie-
rajcie!” „Przecież u nas nie ma ko-
go wybierać!” — wołają. A nagle
ktoś odzywa się: „Jak to nie ma
kogo wybierać? A na przykład
Sierpana Gorszkow? Czemu nie miał
by zostać przewodniczącym?” Wiza-
wa, śmiech, „Stiopkę Gorszkowa!”
„Stiopa, wstań, pokaż się ludziom!”

swego poprzednika. Ubrany tak sa-
mo jak przedtem, w starych bucio-
rach, tylko spodnie zaszył. Dotych-
czasowy przewodniczący zamierzał
przekazać wszystko szybko, tak jak
sam przejmował: tu masz pieczęć,
tu podpisujcie do pieczęci — siadaj,
urzęduj. Ale Sierpan: „Bez szczegó-
łowej kontroli nie przyjmę”. Mówią mu:
„Przecież kontrola zo-
stała przeprowadzona tuż przed ze-
braniem sprawozdawczym, trzy dni
temu!” „Złodziej kontrolował zło-
dzieja”. Gorszkow wezwał rewizo-
rów z rejonu. Dwa tygodnie grze-
bał we wszystkim, przeważał całe

*) Gra słów: Gorszkow od „gorszok”
— garnek.

Podróż po Ukrainie

(Dokończenie ze str. 1)

cy, na ulicy, w teatrach, na plażach,
w sklepach i pociągach. Chętnie na-
wiązywali z nami rozmowy, zawsze
pełni dla nas zainteresowania i ży-
czliwości. Mogliśmy sobie z tych
rozmów wyrobić niejedno pojęcie o
atmosferze tego społeczeństwa. Są-
dząc, że najbardziej charakterystycz-
ne dla owej atmosfery jest szczegó-
le opanowanie i spokój wobec
spraw wywołujących nieraz panicz-
ny popłoch na Zachodzie. Nie ma
tam śladu nastrojów zagrożenia czy
niepewności, tak dzisiaj powszech-
nych w krajach kapitalistycznych.
Spędziłem miesiąc wśród ludzi
mocno osadzonych w swojej rzeczy-
wistości, powiązanych ze światem
tysiącami rzeczowych, materialnych
związków i głęboką wiarą w sens
tego, co robią.

Znowu pytanie: jak to się dzieje?
Na czym to polega? Odpowiedzi są
tam, na miejscu. Trzeba zobaczyć z
bliska kolchoz ukraiński, aby zro-
zumieć siłę i nieodparte działania
tej rzeczywistości. Nasza delegacja
stawała jak wryta wobec urządzeń
przekraczających najśmielsze wyo-
brażenia o zdobyczach rolnictwa i
hodowli kolchozowej. Widzieliśmy
obory wyłożone białymi kafelkami,
wśród których pedza żywot krowy
o romantycznych imionach: Medu-
za, Magnolia, Tajemnica... Krowy te
żyją w literalnym komfortie i w
cudownej czystości, dojenie odbywa
się systemem elektrycznym, perso-

ziarno w spichlerzach, produkty ży-
wnościowe w magazynach, sam
przejrzał każdy papierkę w księgo-
wości, wyciągnął sprawy sprzed
trzech lat — i ostatecznie przyjął
kolchoz w ten sposób, że pięciu lu-
dzi spośród dawnych członków zar-
ządu i komisji rewizyjnej wpako-
wał do więzienia na zasadzie usta-
wy z 7 sierpnia.

Potem zebrał brygadzystów i po-
wiada: „Dość już tego chodzenia po
zagrodach, drażnienia psów, zwoly-
wania do roboty. Kto nie chce w
tym roku zostać bez chleba — wy-
jdzie w pole bez waszego zaprosze-
nia”. A już w każdej rodzinie o ni-
czym innym się nie mówi, tylko o
tym, jak nowy przewodniczący
przejmował kierownictwo kolchozu,
jak rozprawił się z krętaczami. Lu-
dzie myślą: może naprawdę teraz
sytuacja się zmieni, będzie co o-
trzymywać za dniówki obrachunko-
we. Żeby przypadkiem nie popełnić
błędu, siedząc w domu z założonymi
rękami. I wszyscy ławą ruszyli do
roboty.

Od tego czasu kolchoz dźwignął
się w górę. Dobrze zorano pola, w
porę posiano, sprzątnięto zboże —
jaki plon, ile ziarna. Kiedy tłusz-
czyk się zawiąże — gospodarstwo
szybko rośnie. W ciągu dwóch lat
„Siewca” wysunął się na czoło
wszystkich kolchozów w rejonie.
Chciano przetrucić Gorszkowa do
innego zaniedbanego kolchozu, że-
by i tam zrobić porządek — gdzie
tam! Kolchoźnicy — za nic. „Nie
oddamy Sierpana Jegorycza!” Wy-
stali delegację do Moskwy — wy-
broni go.

Bardzo podobna sprawa była
w naszym kolchozie — rzekła Maria
Siergiejewna. — Mieliliśmy dobrego
przewodniczącego, zabrano go do
rejonu na stanowisko naczelnika
wydziału rolnego w Komitecie Re-
jonowym. U nas zawsze tak jest:
ledwie jakiś przewodniczący kolcho-
zu pokaże co umie, już co prędzej
kieruje się go do rejonu. A my po ro-
ku usunęliśmy nowego przewodni-
czącego — pod jego kierownictwem
wszystko szło gorzej — i uchwali-
liśmy, że wybierzymy ponownie da-
wnego, Iwana Romanowicza Szulge.
Wprawdzie pracuje w Komitecie
Rejonowym, ale wybraliśmy go
zaocznie. Pojechaliśmy z tą decyzją
do Komitetu Obwodowego — posta-
wiliśmy na swoim, oddano nam
Iwana Romanowicza.

— No właśnie. Kwapiemy się z
wyciąganiem z kolchozów odpowie-
dzialnych pracowników. Jak gdyby
nasze instytucje istniały same dla
siebie. Nie dla siebie istnieją — dla
kolchozów. I choćbyśmy we wszyst-
kich wydziałach w Komitecie Rejo-
nowym i Radzie Rejonowej mieli
samiych profesorów i doktorów nauk
ekonomicznych — ogólny stan nie
uległby poprawie, jeżeli gdzieś w kol-
chozach zostaną niedoradcy i pijacy...

— Rozgadałem się kiedyś z tym
Gorszkowem — podjął znów Mar-
tynow — na temat jego dawnego
życia, na temat kolchozu. „Mnie —
powiada Gorszkow — serce się
krwawiło, kiedy widziałem jak zło-
dzieje i osuści rejonowi nasz kol-
choz. W okresie jego organizowania
pracowałem przecież w aktywie,
brałem udział w wysiedlaniu ku-
laków, strzelali mi w okna, chałę
moją usiłowali podpalić — i w kon-
cu doczekałem się tego, że zostałem
bez budów. Wszelka hołota śmieje
się: „Oto masz ten swój raj na zie-
mi, Stiopa, który nam zapowiada-
łeś. Zrobiłeś się już nawet podob-
ny do Adama”. Sami zaprzeczają
kolchoz i jeszcze drwią sobie.
Ech, myśle, żeby tak ja dostał
władzę w ręce! Dobrałbym się wam
do skóry!...”

Dlaczego opowiedziałem o tym
wypadku Wiktorowi Siemionyczo-
wi? Nie bez ukrytej myśli. I my po-

winniśmy poszukać wśród naszych
kolchoźników takich ludzi, którym
„serce się krwawi”. A jeżeli ktoś je-
dzie do kolchozu pod grozą usunię-
cia z partii albo tylko dlatego, że
w ośrodku rejonowym nie dają mu
już żadnych stanowisk — to taki prze-
wodniczący grosza złamanego nie
wart. No i co? Opowiedziałem mu
— a on nawet okiem nie mrugnął.
Następnego dnia pojechał do kol-
chozu „Nasza Droga”, by przepro-
wadzić zebranie sprawozdawczo-wy-
borcze — i trzy razy zarządził wśród
kolchoźników głosowanie, zanim w
końcu nie wybrał tego szubrawca
Kamniawa, którego teraz trzeba
sądzić za pomór bydła i defraudację.

Nie wszystko wiedzieliśmy o Ka-
mniewie, kiedy rozważaliśmy jego
kandydaturę na zebraniu egzekuty-
wy. Wiedzieliśmy tylko, że w kom-
binacie wytwórczym nie podolał
pracy i że z olejarni usunęto go
za zbytnią dbałość o własne inte-
resy. Towarzysze twierdzą, że to sta-
re dzieje, że to odpokutował, ma
nauczkę na przyszłość. Ale tam, na
miejscu, kolchoźnicy tyle o nim
naopowiadali, że oczywiście należa-
ło nie nastawać na jego wybór, lecz
uznać swą pomyłkę i pomyśleć o
innym człowieku. Kamniew pocho-
dził z sąsiedniej wsi, wszyscy go zna-
ją. Mówią: „Na trybunie — słowik,
a w rzeczywistości — wrona”. Twier-
dzono, że medal partyzancki otrzy-
mał dzięki oszustwu; zapuścił sobie
brodę i mieszkał u krewnych w są-
siednim rejonie, gdzie nikt go nie
znał — tak wyglądało jego bohater-
stwo. A poza tym handlował ewa-
kuowanym bydłem. Ale Borzow us-
parł się, nie chciał nic sprawdzić.
Skoro na zebraniu egzekutywy zapa-
dła decyzja — należało wprowadzić
ją w życie. W końcu tak znużył ze-
branych, że postawił na swoim. Ko-
mitet Rejonowy nie wysłał przecie-
ż do kolchozów ludzi nie godnych
zaufania. Borzow uważa, że jeżeli
gdziekolwiek kolchoźnicy w czymś
nas poprawią, ucierpią autorytet Ko-
mitetu Rejonowego...

— Odkrycie zrobilem. — Marty-
now nagle rozpromienił się, wstał
i zaczął przechadzać się po pokoju.
— Cały czas dręczyło mnie pytanie:
czemu w naszym aktywie partyjnym
tak mało jest kolchoźników na wy-
jazd do kolchozów na stanowiska
przewodniczących? Jeżeli nawet po-
dejdę do tej sprawy z punktu wi-
zdenia czysto praktycznego: dlaczego
mam wiecznie być pełnomocnikiem
na wsi, rozrywać się między wła-
snym zakładem pracy a wyjazdami
służbowymi — lepiej już pośliznie
mnie w charakterze przewodniczą-
cego. I pobory wysokie przyznano lu-
dziom odwołanym z innego miej-
sca pracy. Sekretarz Komitetu Re-
jonowego nie otrzymuje tyle, ile w
dużym kolchozie przy dobrym uro-
dzeniu może zarobić przewodniczący.
A ochotników nie ma. Czyżby, my-
ślę, rejon tutejszy był jakiś inny
niż wszystkie? Tam u nas nie było
to problemem. W końcu wyjaśni-
łem się: boją się Borzowa. Tu rów-
nież są tacy, którzy z przyjemno-
ścią zamieniliby swą kancelarię na
żywą pracę w kolchozie, z ludźmi
— ale jego się boją. Boją się, że co-
kolwiek dobrego zrobią — wszystko
będzie przekreślone. On człowieka
nawet grupą urodzajności zarznie i
zgani o byle co — za to, na przy-
kład, że kombajn nie pracował,
kiedy deszcz lał jak z cebra. Nie
ma nic gorszego dla kolchozu, niż
brak przekonania u przewodniczą-
cego, że nagana może go spotkać
dyndy za niedociągnięcia, a poza tym
okaże mu się szczerą pomoc, i że
w swej trudnej pracy, gdzie oczy-
wiście nieraz może popełnić błąd,
nie padnie ofiarą samowoli i bez-
myślnego uporu. W ogóle można by
wyciągnąć stąd wnioszek: jeżeli
gdzieś są skargi, że jedynie w ra-
mach dyscypliny partyjnej udaje się
wysłać człowieka do kolchozu na
stanowisko przewodniczącego —
przyczyną tego zjawiska należy szu-
kać w samym Komitecie Rejonow-
nym... Spytasz może skąd znam tak
dobrze psychologię przewodniczą-
cego? Sam przecież byłem przewodni-
czącym kolchozu, trzy lata, zapo-
mniałem ci o tym powiedzieć. Tam też
napisałem swój raport. Mnie tak-
że „wywiodano”. „O, mówia, ma-
my przecież własnego literata!” —
i mianowano mnie kierownikiem
drukarni gazety rejonowej. Od tego
właśnie zaczęła się moja kariera
dziennikarska.

— Przez twoje odkrycie, Piotrze
Ilarionyczu, ja zdaje się, całą noc
nie będę mogła spać — rzekła Ma-
ria Siergiejewna. — Skądinąd za-
stanawiam się — dodała z bladym
uśmiechem — za co on mnie pokochał.
Nawet jako dziewczyna nie
byłam ładna... Po prostu moda ta-
ka wtedy zapanowała, żeby żenić
się z przodownikami pracy. Nasz
przewodniczący Rejonowego Kom-
itetu Wykonawczego również wziął
sobie za żonę prostą dziewczynę,
grupową, jedną z pierwszych nagro-
dzonych orderem — o niej także
pisano we wszystkich gazetach...

— No, jak z wami było, tego już
nie wiem — odparł Martynow. —
Wątpię, bym w tym wypadku po-
trafił pomóc ci wyciągnąć właściwe
wnioski.

Walenty Owieczkin

Przekład Marii Traczewskiej

„Sprawy dnia powszedniego”. (Rejo-
nyłe budni!) należą do znanego cyklu
reportażu W. Owieczkina. Reportaż ten
podajemy z nieznacznymi skrótami.

Kazimierz Brandys

Wiosna nad Wieprzem

(Dokończenie ze str. 3)

Posłać do niego po ratunek. Nie pozwoli, żeby chłopci zginęli marnie. Uratuje was wszystkich, bracia, wasze żony, dzieci i wasze zielone pola". Posłali więc chłopci do tego skowronka gońców.

— Jakich gońców? — zapytała nagle gospodyni.

— Rozmaitych. Wróble, jaskółki, nawet łysiego dzięcioła — tego, co to przebił na wylot drewniany krzyż na kościele w Lubartowie. I oto — Staś ogarnął nas wszystkich filuternym spojrzaniem — zleciały się do chłopcego państwa tysiące skowronków. Usiadły na dachach i powiadają do kobiet: „Słuchajcie, matki i żony, siostry i kochanki! Co dacie za to, żeby ta wojna się skończyła?” „Wszystko oddamy! — krzyknęły kobiety. — Biercie wszystko do ostatniej okruszyny chleba!” „Skoro tak — mówią skowronki — to dziś jeszcze zaniesiecie na wygon za całą wszystkie nici do robót i haftu, jakie tylko macie schowane po kątach”. Kobiety zrobiły, jak im kazały ptaki. W nocy tysiące skowronków przyleciało na wygon, chwyciły kłębki nici, pofru-

nęły z nimi ku wojsku srogiego króla i zaczęły chmaraми krążyć wokół rycerzy, rozwijając kłębki i omotywały rycerzy niemi, jak pajak omotywał muchę pajęczyną. Rycerze z początku rwali nici, ale skowronki krepowały ich coraz mocniej, aż wreszcie rycerze padli na ziemię i nie mogli już poruszyć ręką ani nogą, wypuili tylko welnę, co dostała im się do ust. Wtenczas chłopci zdjęli rycerzom zbroję, odebrali im miecze, załadowali rycerzy na wozy, zawieźli na granicę swojej ziemi i tam za rzeką wrzucili do jaru niby śmiecie, wywożone na usypisko. A sam Janko Srogi tyle się naliakał welny, że zsiadł i uduślił się ku radości wszystkich pocziwych ludzi. I odtąd nie było już wojen w tym kraju.

Staś milczał przez chwilę.

— My bismy też, panowie, powinni poszukać tego skowronka ze złotym dzióbkiem — dodał śmiejąc się pod wąsem.

Wyszliśmy z chaty Stasia pod wieczór. Gospodyni posłała nas odprowadzić. Staś został w domu. Stał w otwartych drzwiach chaty i pykając fajkę patrzył, jak się oddalamy.

Gospodyni niosła dziecko na rękę i mówiła, że Staś jest zupełnie inny

niż wszyscy i nie powinniśmy mieć do niego urazy.

Na rozstaju pożegnaliśmy się z nią.

Słońce chowało się za Wieprz. Nad milczące już gaje i pola polyskujące srebryszczie w głębi nieba wypływał sierp księżycza.

Kobieta podała mi rękę. Sam nie wiem czemu, ale pochyliłem się i ucałowałem tę szorstką dłoń, pachnącą chlebem. Kobieta nie cofnęła ręki.

— Dziękuję — rzekła z prostotą, podnosząc na mnie spokojne oczy. — Przyjeżdżcie do nas koniecznie. Upiekę wam placków, a Staś nałowi ryb w Wieprzu.

Obiecaliśmy, że wrócimy, ale nazajutrz pociąg nasz wysłano do Siedlec, stamtąd zaś do Warszawy i nigdy już nie widziałem ani Stasia, ani młodej kobiety z dzieckiem. Żal z tego powodu długo toczył moje serce, sam nie wiem dlaczego. Może dlatego, że moje życie w owych czasach, podobnie jak życie wielu moich współczesnych, pozbawione było nawet takiego ubożego szczęścia, jakie przypało w udziale tej miłej polskiej chłopce.

Konstanty Pausowski
Przekład Wacławy Komarnickiej

Rok siedemnasty

(Dokończenie ze str. 3)

latach zielonej młodości, kiedy byliśmy pewni nazajutrz nowego życia.

Trzeci listopada, godzina dziewiąta, parowóz ruje ciężkie fale mgły spadające drżąc na ostatnie liście drzew i ziemię, a my jadąc na wschód odczuwamy wiosnę całym organizmem. Przerzedza się zangleśnie, wita nas rozproszone światło słoneczne. Dworzec Wiedeński. Stajemy rzędem w kolejce do rewizji. Patrzmy na brutalne poszukiwania żywności przy podróżnych. Zandarmi nie umieją i nie chcą odróżniać brzemiennych obywaterek od przemysłowiczek białka i tłuszcza dla głodujących mieszkańców miasta. Przepustki władz obozu hawelberskiego uwalniają nas od rewizji. Współpodróżni patrzą na to podejrzliwie, nie rozumiejąc, że najwolniejsi w państwach gwałtu są ci, co sobie drwią z wyroków śmierci. W promieniach lekko zamglonego słońca Warszawa wygląda majestatycznie. Ruch na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich z Marszałkowską zamierał. Oblicza przechodniów poważne, skupione, ani śladu uśmiechu. Ale i okupanci patrzają ponuro. Najbardziej krytyczny moment. Jednak odgłosy wydarzeń w Piotrogradzie budzą pewność, że przesilenie nastąpi ku życiu.

Pukam wreszcie z bijącym sercem do drzwi mych najdroższych. Rzucają się ku mnie na raz wszyscy troje. Przed obozem dzieliłmi się na dwa przeciwstawne ugrupowania: ci troje i ja jeden, przeciwnie nieobecny w domu, ku utraśpieniu żony i ciemnemu zadowoleniu dzieci. Ojciec zajęty nierozumiwałymi sprawami w ciasnym mieszkaniu zawsze był krępujący. Teraz byliśmy jednością.

— Ani na chwilę nie wątpiałam o twym przyjeździe — mówi żona z radością, trzymając wzruszenia na wodzy. Zazdroszczę jej, nie mogę się opanować, wzbierające uczucia kondensują się w łzach jak mgła na drutach telegraficznych. — Czy wiesz, co się dzieje w Rosji? — pyta; żeby mi pomóc. — Walczą ze sobą dwa rządy, Kiereńskiego i Lenina. Kiereński podobno, ledwo dy-

ży.

Chwytałem małżonkę ponownie w ramiona. Całujemy się jeszcze serdeczniej, niż w swoim czasie w przededniu rewolucji 1905 roku.

W najbliższą niedzielę nie zdążyłem zorganizować większego zebrania, gdyż przyjechałem w sobotę. Nie udało mi się też tego dokonać w następną niedzielę, bo we środę dnia siódmego listopada doszła nas oszałamiająca wieść o zwycięstwie rewolucji w Piotrogradzie i walkach w Moskwie. Całą energię włożyliśmy w organizację nielegalną. Ale nawet trzy pomniejsze publiczne zebrania związkowe, na których przemawiałem, wystarczyły, aby mnie wezwano do szefa niemieckiej policji w Warszawie, Leśnika. Namysławszy mi brutalnie (trzymał mnie dwaj zandarmi pod ręce, bym musiał słuchać) przypomniał mi warunki uwolnienia, powiedział, że Niemcy to nie anarchizująca Rosja i pogroził, że jeżeli jeszcze raz...

— Jeszcze nie jeden raz — pomyślałem wzbudzony do głębi i zacząłem projektować wiec jak najliczniejszy. Konieczne to było do zadokumentowania swej godności rewolucyjnej i naszej politycznej wyższości.

Nadarzyła się dobra okazja. Pod kierownictwem nieśmiertelnej Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy Warszawa strajkowała. Z kolei po piekarzach i tramwajarzach ruszyli do ataku skórzani. Szewcy, kamasznicy i rymarze, zarówno polscy i żydowscy mieli się zebrać na naradę w najbliższą niedzielę na ulicy Karmielickiej w pobliżu Łeszna. Obiecywałem sobie dużo po tym wiecu, tym bardziej, że wieść o zwycięstwie rewolucji w Rosji wzbudzała coraz większy zapal wśród robotników. Inaczej traktują sprawę ci, co mają pretensję do przywództwa.

Redaktor Kuriera Wieczornego Wilamowski sprząda do siebie na przyjęcie najczystszych socjalistów warszawskich, aby się dowiedzieć, co myślą o rewolucji bez precedensu, dokonanej wbrew

„marksizmowi”. Piijemy kawę, a nasz Złotousty (Z.) pouczywszy zebranych, że gospodarka światowa stanowi jedną organiczną całość, że w izolacji nie utrzyma się żadne państwo, wyraża przekonanie, iż Rewolucja Październikowa utrzyma się nie dłużej niż jakieś cztery miesiące.

Ogólna konsternacja objęła nawet liberała Wilamowskiego. Nie śmiało jednak wystąpić przeciw „autorytetowi”. Tylko młody piekarz warszawski, U. źle wychowany i znany „warchoł”, purpurowy z oburzenia; krzyknął:

— Skąd taka pewność, że tylko cztery miesiące, a może cztery lata?! Komuna Paryska istniała krócej, a burżuazja do tego czasu nie może wykorzystać jej wpływów. Na komunie rosyjskiej poiamie sobie żęby.

Zdania się podzieliły. Wykształceni „marksiści” stanęli nieśmiało przy Złotoustym, osoby mniejszego znaczenia solidaryzowały się z piekarzem leninowcem, który znał teoretyczne prace Lenina ze słyszenia.

✱

Na Karmielickiej zebrano się kilkuset szewców i kamaszników z porządkiem dziennym: podwyższenie trzydziestu groszy na parze szpilkowych i pięćdziesięciu — na sztytch. Szewcy warszawscy, wiadomo, esdecy, ale wpakowało się między nich trochę pepesowców i przeskakadzi krzykliwie przemówieniu w języku żydowskim. Sala hucała, rwała się do dyskusji pięścią. Żądałem głosu.

— Kto tu jest przeciw solidarności robotniczej, niech podniesie rękę — mówię wolno, dobitnie z oburzeniem.

— Demagogia! — krzyczą jednostki, lecz wnet ich uciszają.

— Czy wy i wy tam, towarzyszu — wskazuję palcem w głąb sali — co nie pozwalacie mówić po żydowsku, znacie dobrze polski język?! Nie, znacie go słabo. Wszyscy tu na tej sali nie znamy dobrze naszego

Z zebrania organizacji partyjnej literatów warszawskich

(Dokończenie ze str. 2)

narodu, powinny więcej zainteresować pisarzy w odkrywczości i eksperymencie. Przełamanie izolacji środowiska jest, zdaniem J. Putramenta, głównym, kluczowym ogniwem, które pozwoli nam zmienić atmosferę środowiska.

Leon Kruczkowski ostrzega przed upraszczaniem zawiłego problemu poznawania życia przez pisarza. Wyjazdy w teren nie są ani jedyną, ani niezawodną (choć mówca nie kwestionuje ich potrzeby) rekojmia poznawania życia i nie należy w nich upatrywać lekarstwa na wszystkie bólezki i słabości naszego środowiska. Przykładem „Niemców” i „Juliusza i Ethel” — dramatów ze środowisk nieznanych autorowi — popiera Leon Kruczkowski swoje wywody.

W wileń przemówieniach (m. in. M. Brandysa i J. Dziarnowskiej) przewijała się sprawa reportażu. Na razie często nasz reportaż jest mdły, nie wywiera wpływu na kształtowanie się opinii publicznej. M. Brandys kładzie nacisk na wnikiwość i uczciwość w pracy reportera w terenie, gdyż często dajemy się unosić powierzchownym wrażeniom i sądom. Pisząc o czymkolwiek, musimy pamiętać, że jesteśmy bojującymi Polakami Ludowej. S. Naczin dorzuca w swym przemówieniu, że ciemne strony rzeczywistości nie powinny pisarzowi socjalistycznemu przysłać pędów nowego życia, nowych postaw ludzkich.

Na zakończenie jeszcze jeden istotny moment. Zarówno referent, jak i liczne głosy w dyskusji wskazywały na konieczność poświęcania

większej niż dotąd uwagi poszczególnym pisarzom, ich kłopotom życiowym i twórczym, zarówno ze strony egzekutywy i organizacji partyjnej jak i całego Związku.

Należy pamiętać, że Związek nie jest instytucją samą dla siebie, lecz kolektywem pisarskim, w którym każdy pisarz ma prawo szukać pomocy i tę pomoc znajdować. W tym kierunku powinniśmy zmierzać wysiłki Związku Literatów.

Mniej „widowiskowości” i popisów na zebraniach sekcji twórczych, więcej natomiast swobodnej koleżeńkiej współpracy, pomocy i otwartości!

Postulat ten przebiegał zarówno z referatu jak i z dyskusji. Że jest to postulat do zrealizowania, dowodzi właśnie przebieg omawianego zebrania, które toczyło się w zdrowej atmosferze partyjnej szczeroci.

Spr.

O polską barwę

(Dokończenie ze str. 2)

jak nigdy dotąd w naszej historii. Stajemy się narodem budowniczym okrętów, traktorów, samochodów, samolotów, nowoczesnych precyzyjnych maszyn. Toczy się wielka bitwa o rozwój rolnictwa, w której coraz nowe zastępy chłopów stoją się świątyni, mądrymi gospodarzami, posługującymi się naukowymi metodami uprawy, hodowli i organizacji pracy. Wycięć pracy wyzwala energię i zdolności szeroki mas naszego ludu. Trwa i zdobywa coraz to nowe pozycje rewolucja kulturalna.

Kształtuje się — nowy typ Polaka. Krystalizuje się nowy charakter narodowy, skupiający te cechy i właściwości, które są wynikiem naszej dorychczasowej historii, tradycji jak i te nowe, zdobyte w walce o socjalizm, o lepsze życie narodu. Zmianiamy się charakteru narodowego — czyż to nie piękne dla

Moskwa — Leningrad — Kijów

AUGUST GRODZICKI

NOTATKI TEATRALNE

Trzy tygodnie w Związku Radzieckim podzieliłem między Moskwę, Leningrad i Kijów — to za mało na wyciągnięcie jakichś syntetycznych wniosków o całoci teatru radzieckiego. Za mało nawet, aby rozróżnić się w aktualnym stanie życia teatralnego, ocenić różnorodność repertuaru i twórczości scenicznej w tych trzech wielkich miastach. Każdy wolny wieczór spędzałem się wprawdzie w teatrze, ale wybór sztuki był w dużej mierze przypadkowy. Większość teatrów radzieckich ma repertuar zmienny. Trzeba więc mieć akurat szczęście, że wtedy kiedy dysponuję się czasem grająco, na co polujesz od dawna i co chciałbyś zobaczyć. Często zaś jest niewiele i wybór często nielaty, gdy kilka przedstawień kusł, a na jedno tylko można się zdecydować.

Toteż z tych odwiedzin teatralnych pozostają tylko luźne notatki. Dotknę jedynie kilku spraw — nie zawsze zresztą nowych. Bo w Moskwie można zobaczyć niektóre przedstawienia te same dziś co dziesięć, dwadzieścia czy nawet czterdzieści lat temu — naturalnie jeżeli idzie o kształt inscenizacyjny a nie obsadę aktorską. Mam na myśli przede wszystkim MChAT. Utrzymanie w stałym repertuarze w niezmienionej formie nieraz bardzo starych przedstawień jest znakomitą trydycją teatralną.

W MChAT'cie oglądałem słynne przedstawienie „Niebieskiego ptaka” M. Maeterlincka. W programie widnieją wielkie nazwiska reżyserów: Stanisławski, Gieorgijewski, Moskwini. Dekoracje W. Sulerowa. Przełicznymi muzyka Igora Saca. Przedstawienie powstało w roku 1908. W znajdującym się w sąsiednim budynku Muzeum MChAT-u można zobaczyć szkice, rysunki i fotografie z tamtej premiery. Dokładnie to samo widzimy teraz na scenie. Zapewne — oprawa dekoracyjna zbyt tracił secesja. Na scenie dzieje się mnóstwo nadzwyczajnych rzeczy, technicznie bardzo wymyślnych. Zresztą powikłane metody inscenizacyjne można dziś jeszcze spotkać w niejednym nowym przedstawieniu radzieckim. Przetrwaly one zwłaszcza w operze, gdzie pełno jest autentycznych ogni, tryskających prawdziwą wodą fontann, ruszających się fal morskich, płynących okrętów itd. Technicznie jest to zawsze świetnie zrobione, ale można nie gustować w tych wszystkich „cudach”.

Tu zresztą, w „Niebieskim ptaku”, nie razą one zanadto. Stara sztuka Maeterlincka straciła swój symboliczny charakter zabarwiony nieokreślonymi tęsknotami i pragnieniami. Stała się po prostu uroczą, pełną fantastyki baśnią poetycką, która z zapartym tchem wchłania przed wszystkim dzieci. Jest ich też na widowni bardzo wiele. I kiedy między dwiema kapitalnie przedstawionymi na scenie postaciami psa i kota dochodzi do sprzeczki, w której ten ostatni zostaje poturbowany, za moimi plecami jakaś sześciolatekni obywatelka wybuchła płaczem i chce iść do domu, aby zobaczyć czy się nie stało coś złego jej kotkowi. Przedstawienie w całości jest bardzo ładne i mimo że role dwójga dzieci grają dwie dorosłe — i zdaje się nawet nie najmłodsze — aktorki — iluzja utrzymana jest doskonale, bo aktorki są znakomite i zawsze odpowiednio ustawiane wśród innych osób.

„Zmartwychwstanie” Tolstoja — to drugie, znacznie młodsze od „Niebieskiego ptaka”, słynne przedstawienie MChAT-u, znane z wielu opisów. Idzie „dopiero” po raz 655. Patrząc na nie trzeba znów myśleć o wszystkich słabych stronach teatralnych przeróbek powieści. Na pewno zresztą takie ujęcie — z narratorem uzupełniającym akcję, dającym do niej komentarz a czasem ironiczną ocenę — lepsze jest od naszej „Lalki” w teatrze. Powstaje z tego opowieść teatralna napisana z dużym nerwem dramatycznym, a posługująca się wieloma umownościami. Narrator nie tylko występuje przed rampą ale i miesza się na scenie z postaciami dramatu niewidzialny dla nich.

Mimo jednak wielu zalet adaptacja jest nieskończenie uboższa od oryginału. Przemiany bohaterów, które powieść pokazuje bardzo subtelnie z wszystkimi oceniami psychologicznymi, tutaj dokonują się z koniecznością, przeważnie w sposób

dość nagły i niespodziewany. Zwłaszcza postać Niechłodowa wydaje się uproszczona i nienaturalna, jego decyzje zapadają dla widza, który by nie znał powieści, dość nieoczekiwanie. Za to Katusza w interpretacji L. Puszkariowej jest postacią pełną, narysowaną z całym bogactwem środków aktorskich i głębią przeżycia. Wierzy się w logikę pokazanych na scenie jej postępów. Niektóre sceny jak rozmowa po pijanemu z Niechłodowem wstrząsają swą siłą dramatyczną. Tu kunszt aktorski wzbogacił tekst i zbliżył go do tego, co otrzymujemy, czytając powieść. Również wiele postaci epizodycznych — a właściwie poza tymi dwiema wszystkimi inne są epizodyczne — przedstawionych jest z niezrównanym mistrzostwem aktorskim, które uzupełnia i rozbudowuje wątki materiału pozostały w przeróbce. Np. cały zespół sędziów przysięgłych charakteryzuje niezmiernie plastycznie jedna krótka chwila składania przysięgi. Przez chwilę te dowiadujemy się o każdym z nich tyle, na ile w powieści trzeba było poświęcić kilka kartek. To samo można powiedzieć o postaciach chłopów.

Umowność w przedstawieniu tych „urywków z powieści” — jak słusznie określa to podtytuł — utrzymana jest poza postacią narratora i w innych szczegółach w koncepcji całości, także w dekoracjach.

Bardzo wiele świadomych, wymyślnych i dowcipnych umowności, którym być może poniekąd zarzucałoby się cechy... formalizmu, miało przedstawienie starej sztuki Sheridana „Dzień przedziwnych złudzeń” („Duenna”) przerobionej na komedię muzyczną metodą podobną do tej, którą kiedyś u nas stosował Tuwim. Komedia w Teatrze Dramatycznym im. Stanisławskiego grana jest w jaskrawym tonie bufu. Stylu epoki jest w tym wszystkim niewiele. Komedia pełna jest absurdalnych przebiegów i pomyłek. Inszenizacja ma również wiele absurdalnych a uroczych pomysłów.

To przedstawienie zresztą nie było jakąś rewelacją w życiu teatralnym Moskwy. Natomiast głośne, budzące wiele dyskusji i sprzecznych opinii jest przedstawienie „Czajki” Czechowa w Teatrze im. Wachtangowa. „Czajka” związana jest nieodłącznie z MChAT'em, dała mu nawet emblemat pozostały do dziś na kurtynie tego teatru. Od tej pierwszej większej sztuki Czechowa zaczęła się tak piękna jego współpraca ze Stanisławskim. MChAT wytworzył pewien typ inscenizacji „Czajki”, który w głównych zarysach uchodził niemal za obowiązujący w innych teatrach. Borys Zachawa inscenizując „Czajkę” w Teatrze im. Wachtangowa pragnął przeciwstawić się temu typowi i dać inną koncepcję. Stąd ożywione dyskusje po tym przedstawieniu.

Nie widziałem nigdy przedtem „Czajki” na scenie, znalazłem to z opisów przedstawienie MChAT-u. Trudno mi opowiedzieć się po jednej czy drugiej stronie. Wiem tylko, że przedstawienie w Teatrze im. Wachtangowa podobało mi się bardzo. Wydaje mi się, że Zachawa bardzo stuszował wszelkie elementy symboliczne w sztuce, że zrezygnował z przeciągania nastrojów i nadmiernego wygrywania podtekstów, uczynił sztukę bardziej zważając i dramatycznie napiętą. Tak jest co najmniej w trzech aktach, bo w ostatnim i sztuka i reżyseria nieco się rozluźniają. Nie ma w przedstawieniu pasywnego lubowania się w pięknie przeżyć. Reżyser kładzie nacisk przede wszystkim na ludzkie dążenia, trudne poszukiwania dróg życia, twórczości, szczęścia, na ludzką nadzieję i wloty. Spokój, który panuje w tym wiejskim domu jest pozorny, kryją się pod nim siły, które potem doprowadzą do tragicznych starć.

Grają aktorzy znakomici. Zapewne, można dyskutować o koncepcji niektórych ról, ale z teatru wychodzi się pod wrażeniem wyrównanego, prawdziwego koncertu gry. A jednak z tego całociowego wrażenia wybijają się dwie kreacje, o których nie można zapomnieć, o których będzie się pamiętało długo, chyba na zawsze. Jedna — to C. Mansurowa, w roli Ireny Arkadiny. To ta sama aktorka, która kiedyś grała tytułową rolę w reżyserowanym przez Wachtangowa słynnym przedstawieniu „Turandot” Goezle. Fotografia jej z tego przedstawienia można zobaczyć w Muzeum MChAT-u. W „Czajce” zachwyca subtelnością i zdumiewającym wycienianiem gry. Świetnie trafia w ton Czechowa. Starzejąca się aktorka, trochę śmieszna i trochę smutna, z kocią drapieżnością trzymająca się przemiłującej młodości, walcząca o kochanka, panująca nad nim i zapominająca o synu, rozbrajająca lekkomyślną, uroczą i denerwującą zarazem, naiwną i po swojemu tragiczną — oto Arkadina w ujęciu Mansurowej. Nie umiem opisać tych cudownych przeżyć od łez do śmiechu, od smutku do wesołości, od irytacji do czułości, od dąsania się do dowcipnej konwersacji. Ale gdyby zapytano mnie, jakie największą kreację aktorską widziałem w ciągu tego pobytu w Związku Radzieckim, odpowiedziałbym bez wahania: „Mansurowa w „Czajce”.

Drugie piękne osiągnięcie aktorskie z tego przedstawienia — to L. Paszkowa w roli nieszczerliwie zakochanej Maszy. Być może ta wybitna, młoda aktorka wykracza tu poza styl Czechowa. Stwarza postać raczej ze sztuki Gorkiego, farganą gwałtowną pasją wewnętrzną. Jest tragiczna w swym pragnieniu szcze-

ścia i poczuć beznadziejności jego zdobywania. Paszkowa mocno i sugestywnie ukazuje rozwój uczuć Maszy, przechodzenie od smutku do ironii wobec siebie, od gorczy do apatii. Scena zaprawionych alkoholem wyznaczył przed Trigorinem robi głębokie wrażenie.

„Czajce” w Moskwie nadarzyła się dobra okazja zobaczenia tej samej sztuki w Akademickim Teatrze Dramatycznym im. A. Puszkina w Leningradzie i to na premierowym przedstawieniu. W całości było ono znacznie słabsze od spektaklu „Wachtangowców”. Trzymając się raczej tradycyjnego ujęcia, przy tym reżyseria L. Viviena nie zdołała nadać przedstawieniu jednolitego tonu i zwartego kształtu. Myśl reżyserka nie tłumaczyła się dość jasno. Ucierpiał na tym Czechow; chwilałami po prostu można było pomyśleć, że napisał nienajlepszą sztukę. Postać Maszy, która w Moskwie w interpretacji L. Paszkowej wysuwała się na pierwszy plan, tu prawie na scenie nie istniała. Niedobrze też się działo z główną męską rolą, młodego Triepiewa.

Ale jednak niektóre postacie z tego przedstawienia wbiły się mocno w pamięć, były trafniejsze niż w Moskwie. Przede wszystkim — znakiem J. Tolubiejew zagrał starego Sorina po mistrzowsku. W Kółcow w Teatrze im. Wachtangowa odzworzył rolę tę bardzo ładnie, ale zrobił z Sorina pogodnego, miłego starszaka, co nieuzupełnia zgadza się z życiorysem tej postaci. Tolubiejew był szorstki, zgrzyliwy, nie bardzo sympatyczny. I słusznie, skoro Sorinowi zawsze w życiu układało się inaczej niż chciał i nie miał powodu do zadowolenia na starość. Tolubiejew grał tego starca w ostatnim akcie już powoli gasnącego bardzo oszczędnymi środkami wyrazu, nie rozmięłł ról na sumę drobnych charakterystycznych szczegółów, ale w każdym ruchu, w każdym ocknięciu się czy zdrętwieniu, w każdym odczuciu się czy mruknięciu był zaskakująco prawdziwy. Również Trigorin, do bry pisarz, marny człowiek i cyniczny uwodzień grany przez W. Jancatę miał więcej wdzięku niż w Teatrze im. Wachtangowa, co lepiej tłumaczyło fakt zakochania się w nim Niny Zariecznej.

I rola Niny w teatrze leningradzkim również zasłużyła na uwagę. Grała ją młoda, wybitnie uzdolniona aktorka N. Mamajewa. Choć brak jej było jeszcze pełnej dojrzałości aktorskiej, czuło się w jej grze nieprzeciętny talent. Być może za parę lat będzie to wielka gwiazda teatru radzieckiego. Do Teatru im. Puszkina przeszła niedawno z teatru młodzieżowego. Może dlatego na premierze tłumy młodzieży częściowo jeszcze w wieku „licealnym” zasympły ją kwiatami i urządziły wzruszającą owację, ustępując z sali dopiero po dwudziestym podniesieniu kurtyny, kiedy już zgaszono światła na widowni, bo inaczej nie można było sobie poradzić z tymi namiętnymi miłośnikami teatru.

Przykład Mamajewej mógł świadczyć o tym, że w Związku Radzieckim rosną nowe, zdolne kadry aktorskie. Nie on jeden tylko. Mogliśmy się o tym przekonać w Kijowie na przedstawieniu „Romea i Julia” Szekspira w Rosyjskim Teatrze Dramatycznym im. Lesi Ukrainskiej. Na tę tragedię idzie się zawsze z pewną obawą, aby teatr nie zepsuł najpiękniejszych wzruszeń, jakich dostarcza ta poetycka historia miłości, przyjaźni i nienawiści. Teatr im. Lesi Ukrainskiej jest teatrem dobrym, nie należy jednak do czołówek teatrów radzieckich. Przedstawieniu „Romea i Julia” można by niejedno zarzucić: i miewscami nadmierną operowocą; i nie dobrane dekoracje, które np. w scenie balkonowej bardzo przeszkadzały cudownemu tekstowi w ładnym przekładzie Borysa Pasternaka; i fałszywe rozwiązanie ostatniej odsłony z nadmiernym wyekspowonaniem trupów ukazanych w pełnym świetle reflektorów. A jednak aktorsko spektakl stał wysoko, miał jakiś powiew świeżości i prostoty, głównie dzięki parze grającej dwójkę kochanków, parze młodej, utalentowanej i pełnej uroku. O rolę Julii marzy każda młoda aktorka, tyle bogactwa uczuć i przeżyć daje ta rola. Grała ją W. Pieriedajewicz, która dopiero dwa lata jest na scenie. Podobała jej zarówno w pierwszej części, kiedy Julia jest jeszcze prawie dzieckiem, jak i w drugiej, kiedy dojrzewa, rozwija wewnętrzną i ginie. N. Ruszkowski występujący w roli Romea ma dopiero 24 lata. Nie stworzył jeszcze wielkiej kreacji, ale ujmował widza szczerocą i czystością gry. Dodajmy, że prawie całe przedstawienie idzie w podwójnej obsadzie, a Julia grają aż trzy aktorki! To wiele mówi o możliwościach tego teatru i o właściwym wykorzystaniu w nim aktorów.

Toteż kiedy otrząsnęliśmy się trochę z głębokich wzruszeń, jakie dało nam to przedstawienie, nadeszła refleksja: trzeba było pojechać aż do Kijowa, aby zobaczyć „Romea i Julia”. I pytanie: czy w całej Polsce można by znaleźć tyle obsad dla ról tytułowych i z takim rezultatem jak w tym jednym, bynajmniej nieczolowym teatrze radzieckim?

I choć na to pytanie nie nadchodziła łatwa odpowiedź, już nasuwała się drugie o charakterze niemal alarmującym: Kiedy ujrzymy „Romea i Julia” w Warszawie?

August Grodzicki

Incydent, jakich być nie powinno

Istnieją żarty, które uprawia się zamiast złorzeczeń, żarty, mające zagłuszyć oburzenie a nie raz i desperację. Do takich zaliczyłbym serię kawałów i kalamburów, jaka narodziła się z okazji premiery nowego filmu polskiego pt. „Niedaleko Warszawy”. Oczywiście, lepszy chyba taki wistielczy humor od rozpaczliwej i sam poddałbym się chętnie tej fali, gdyby „Niedaleko Warszawy” był po prostu filmem nieudanym, nawet najgorszym filmem polskim, jakim jest niewątpliwie. Zajmując się stale sprawami kinematografii nabiera się przecież pewnej odporności na niepowodzenia, dzięki czemu ludzie filmu mają szansę stać się najbardziej zahartowanym oddziałem naszych pracowników kultury. A więc — nie rozdzierałbym szat widząc, że jeszcze raz nie udało się zrobić filmu, nawet, być może, poproszylibyśmy z radami czy uwagami dla jego twórców. Tylko, że aby tak uczynić, trzeba wiedzieć kim są ci twórcy, kto zrobił ten film.

Okazuje się bowiem, że te nazwiska, które figurują na czołowie filmu, nie są nazwiskami jego autorów. Są to nazwiska ludzi, którzy zetknęli się z tym filmem przypadkiem, a żaden z nich nie chce przyjąć pełnej odpowiedzialności za to kalekie dzieło. Nie chcą przyjmować odpowiedzialności aktorzy, w imieniu których Benoit wyparł się na naradzie filmowej owego „Niedaleko Warszawy”; nie chce przyjąć CUK, który, choć skierował ten film do produkcji, to jednak na teźże naradzie przez usta swego wiceprezesa odgętnął się od filmu; nie chce przyjąć reżyser, który twierdzi, że oglądał się na scenarzystę, scenarzystę zaś z kolei na konferencji prasowej miał oświadczyć, że pracę utrudniał mu CUK. Łańcuch się zamknął. Nie ma odpowiedzialnych. Jest jednak film-bekart, film-podrzutek, film, którego nie bronią nawet jego autorzy. Trzeba zaiste zdrowej dawki wzgardy dla odbiorcy, by ludzi się, że nie odrzuci go ludowy widz. A może to w ogóle nie ważne, co widz powie? Może osoba jego w ogóle nie wchodzi w rachubę, liczą się natomiast jedynie tysiące wydatkowane na ten film przez państwo?

W życiu zdarzają się dobrzy ludzie, którzy przysięgają podrzutki i zastępują im rodziców; w sztuce nie. Przeczy to samej zasadzie sztuki, która ma być przecież artysty-

cznym wyrazem stosunku a u t o r a do świata, społecznym oddziaływaniem a u t o r a na otoczenie. Kto oddziaływał, kto przemawiał do nas poprzez to dzieło, czyja myśl kieruje naszą myślą, gdy oglądamy ten film? Niczyja? Czy też belkot Pytii? Za wyrocznią delficką stali jednak bogowie antyczni, którzy podsuwali przez jej usta enigmatyczne przepowiednie. Kto zaś stoi za owymi wyroczyniami, z ust których usłyszeliśmy niejasną opowieść o strasznych zbrojczy, pragnącym zniszczyć naszą ojczyznę?

Domniemani autorzy filmu, zwalając na siebie kolejno odpowiedzialność, wskazali w końcu oskarżającym palcem w pustkę. Tym gestem jednak niesposób się wykręcić i wiemy dobrze, co on miał oznaczać, choć domniemanym autorom zabrakło odwagi, aby rzecz dopowiedzieć. Zrobimy to za nich. Chcieli zapewne powiedzieć, że winowajcą jest niezdrowy system administrowania sztuką, jest urzędniczy przymus, krepujący jeszcze niekiedy wypowiedź artysty. Pomiędzy sprawę prawdziwości tego oskarżenia i zapomnijmy na chwilę, że zatwierdzeniu tego scenariusza towarzyszyła jednogłośnie kolegium filmowego. Pomiędzy nieudolny wykręt i zastanówmy się nad moralnymi kwalifikacjami podobnej postawy.

A więc dobrze, wierzymy Wam panowie, że nosiliście pod sercem wspaniałe dzieło sztuki i że potrafiliście przełać je na papier scenariusza. Wierzymy Wam, że na owe dzieło rzucił się tłum bezdusznych urzędników, sędziów, schematyków, biurokratów, że się zwalili nań siedem plag systemu administrowania sztuką i że z paszcz ich dzieło Wasze wyszło kalekie, blade i bezkrwiste, wyszło „Niedaleko Warszawy”. Jeśli matce oddają jej dziecko straszliwie zniekształcone — nie przestaje ono być jej dzieckiem. Jeśli jednak podobny fakt ma miejsce w dziedzinie sztuki dzieła tu inne prawo. „Wojna i pokój” skrócona do rozmiarów broszury nie jest dziełem Tolstoj. „Hamlet” przerobiony na comics nie jest dziełem Szekspira. Mielicie pełne prawo powiedzieć, że Wasze wspaniałe dzieło zmasakrowane przez kolegia nie jest Waszym dziełem. To prawo przysługuje artystce, jeśli ma on ponosić moralną odpowiedzialność za swoje utwory. Postąpiliście

jednak inaczej, przyznaliście się do niego, robiliście dobrą minę, która zrzęda dopiero teraz, kiedy film wyszedł z zacisza biura scenariuszy i zamkniętych sal projekcyjnych i stanął twarzą w twarz z widownią. Teraz dopiero wasza papierowa historyjka wydała się Wam naga i licha, teraz, to znaczy w chwili, kiedy dla prawdziwego artysty zaczyna się satysfakcja prawdziwa, ta, która płynie z moralnego oddziaływania na naród. I właśnie teraz film okazał się podrzutkiem.

Incydent z zakresu moralności, który opisuję nie jest blady. Dotyczy on najważniejszej, moralnej treści naszej kultury socjalistycznej. Musimy jak najostrożniej walczyć przeciwko metodom administrowania sztuką. Ale musimy przy tym wiedzieć, że podstawą tych metod są nie urzędniczy administracji kulturalnej, lecz administracyjni artyści. Nie można administrować sztuką bez administracyjnych artystów, takich, dla których zgodność z najbardziej nawet bezdusznym rozporządzeniem jest ważniejsza od moralnego powołania twórcy. Prawdziwy twórca wie, że po latach nikt nie będzie pamiętał o bezduszności czy tepocie tego czy innego administratora, natomiast dzieło sztuki przez czas znacznie dłuższy świadcząc będzie o swoim autorze. Prawdziwy twórca zdaje sobie sprawę, że jego słowo i obraz ma wagę bez porównania większą dla sztuki socjalistycznej, partyjnej sztuki, niż okólnik. Dlatego też walczy o swoją wypowiedź.

Tej prostej zasady moralności twórczej nie uszanowali autorowie „Niedaleko Warszawy”. I jeśli nawet, w co nie wierzę, zmasakrowano im ich utwór, niczego to nie tłumaczy.

Skoro chcemy podejmować dziś problem moralności twórcy, jak na to wskazują niektóre pamflety, to musimy pracę tę rozpoczynać od podstawowej kategorii moralności twórczej — odpowiedzialności za dzieło. Braki bowiem na tym odcinku są największe, a jest to odcinek najważniejszy. Cenię artystów, którzy, gdy nie zdołano ich przekonać, bronią swoich postulatów, ryzykując tym zwłokę czy nawet niewydanie książki lub niewypuszczenie filmu na ekrany. Widzę w tym wyraz odpowiedzialności moralnej, niekiedy upierającej się na nieustępliwości pozycjach, ale zawsze uczciwej.

Krzysztof T. Toeplitz



W. KORECKI. ŻĄDAMY POKOJU! (PLAKAT 1950)

Nowe książki

Informacja o nowościach poetyckich nie należy do najłatwiejszych. Po pierwsze ze względu na to, że tomików poetyckich wydanych na przestrzeni ostatnich paru lat jest bardzo wiele i że przynajmniej pewna ich część umknęła uwadze czytelników. Tym bardziej, że w łamach naszych tygodników literackich ukazują się tak niewiele recenzji z pozycji (zjawisko to urasta już do miary jakiegoś problemu, a tyle mniej więcej, że przeciętny czytelnik nie może mieć jasnego wyobrażenia o nowościach poetyckich rynku księgarskiego, o ich jakości i randze pisarskiej. Drugą trudność tkwi już w samej materii artystycznej. Trudno w dwóch czy trzech zdaniach, a tymi mniej więcej, przedstawić, jakimi drogami i jakimi miejscami możemy poświęcić jednej pozycji, poinformować czytelnika i oddać sprawiedliwość autorowi.

Ten wstęp zbyt długi — to oczywiście forma asekuracji przed tymi, którzy nam zechcą wypominać przeoczone pozycje i przed tymi, którzy będą mieć do nas pretensje o zbyt lakoniczne i z konieczności upraszczające oceny.

Zaczniemy nasz przegląd od nowych wydań nieżyjących poetów 20-lecia. A więc „Wiersze” Ignacego Fika, poety, krytyka literackiego i działacza społecznego, zamordowanego w 1943 r. przez hitlerowców. Fika zaliczono, zgodnie zresztą z pojęciami samego autora, do grupy określanej mianem awangardy. Odpowiedź na pytanie, co autor „Rodowodu społecznej literatury polskiej” i „Dwudziestu lat literatury polskiej” rozumiał przez to pojęcie, jakim drogą dochodził do sztuki realizmu socjalistycznego — znajdzie czytelnik we wstępie Adama Włodki poprzedzającym „Wybór”, wydany w tym roku przez PIW.

„Wiersze wybrane” Edwarda Szymańskiego (Czyt., 1954) umożliwiają czytelnikom zapoznanie się z twórczością leżącej jednego przelotu pióra poety z literatury dwudziestolecia poety związanej ideologicznie z masami pracującymi. E. Szymański — syn robotniczej Woli, zamordowany w Oświęcimiu — był autorem wielu wierszy o wyraznej wymowie politycznej. Wiele wierszy zawartych w tym tomiku nie straciło nic ze swej świeżości i siły oddziaływania. Wstęp St. R. Dobrowolskiego i posłowie R. Lotha dają pełny obraz życia, działalności i analizy ideowo-artystycznej twórczości przedwcześnie zmarłego poety.

Wśród wznowionych pisarzy dwudziestolecia należałoby także wymienić Marię Jasnorzewską-Pawlikowską — wirtuozkę tzw. „miniatur literackich”. Ten stanowiący zbiór sześciu wyborów poprzedzony bardzo ciekawym wywodem Słonimskiego zawiera utwory z tomików wydanych przed wojną, a także wiersze powołane powstałe na emigracji, zupełnie różne w tonie od poprzedzających z poprzedniego okresu. Wiersze te, pełne tęsknoty za krajem, mają charakter antywojenny. Władcy w nich wyrażają napor nowej problematyki i nowych treści ideologicznych. O tym czytelnikowi tomiku wspominać jako o jednym z licznych u nas nowości wydawniczych, które w kilka godzin po rozprawieniu w księgarniach już są nie do nabycia. Nie ma się zresztą czemu dziwić, skoro cefra nakładu wynosiła 3176 egzemplarzy.

Do równie trudno uchwytnej na rynku księgarskim wznowień dzieł poezji należą „Kwiaty Polskie” J. Tuwima (Czyt., 1954). Jest to już trzecie lotne wydanie (ostatni nakład — 20.176). Stale jeszcze za mało!

Do równie trudno uchwytnej na rynku księgarskim wznowień dzieł poezji należą „Kwiaty Polskie” J. Tuwima (Czyt., 1954). Jest to już trzecie lotne wydanie (ostatni nakład — 20.176). Stale jeszcze za mało!

„Wybór wierszy” K. I. Gałczyńskiego (PIW, 1954) jest także jednym z bardziej poszukiwanych i coraz rzadszych w magazynach księgarskich. Oprócz wierszy z różnych okresów twórczości Gałczyńskiego uwzględniono tu dwa poematy „Niobe” i „Wit Stwosza”. Miłośnicy poezji Gałczyńskiego mają pretensje do redaktorów tego tomu, gdyż pominięto w nim wiele znanych i cenionych utworów.

Wśród wyborów poezji znajdujemy także tom Mieczysława Jastruna „Poezje 1944—1954”. Jest to tom szczególnie ciekawy, gdyż zawiera między innymi wiele nowych, niedrukowanych (i jeszcze wierszy oraz publikowanych na łamach „Życia Literackiego”, „Poemat o Ziemiach Odzyskanych”).

Z życiowym przyjęciem czytelników spotka się „Wybór wierszy” Stanisława Wygodzkiego (Czyt., 1954), zawierający nie publikowane po wojnie utwory z tomików takich jak „Apel”, „Chleb powozem”, „Zwycięstwo”, „najbardziej wstrząsającego „Pamiętnika miłości”, dalej — utwory z tomików „Nad Engelsem” i „Wzgorza” oraz wiersze najnowsze.

Jako jeden z tomów „Biblioteki Poetyckiej” PIW-u ukazał się „Wybór wierszy” Tadeusza Kuśka. Tom ten winien zainteresować i czytelników i krytyków literackich, gdyż daje bardzo ciekawe możliwości określenia profilu i rozwoju tego utalentowanego poety.

W ramach tego samego cyklu PIW-owskiego wyszedł także „Wybór wierszy” T. Rożewicza — jednego z najcięższych poetów młodego pokolenia. „Wybór” ten, wydany w tym starannie przygotowanym do potrzeb i wymagań młodego odbiorcy pomyślano także o przypisach, na pewno bardzo przydatnych i pomocnych zarówno uczniom, jak i naukowcom.

Zwracamy również uwagę czytelników na „Wybór wierszy” Józefa Ozgimichalskiego, który ukazał się w LSW. Zawiera on między innymi fragmenty poematu „Czernieć i Anna” oraz satyry i groteski o tematyce wierszowej.

Posuwając się dalej w naszym przeglądzie wydawnictw poetyckich — damy znowu upust żalom pod adresem Instytucji wydawniczych — jeszcze dwa, zupełnie „efemeryczne” tomiki: „Wiklina” Staffa i „Warkocz jesieni” J. Iwaszkiewicza, rozchwytywane także w ciągu kilku godzin. Wysokość nakładów: Staff — 5.000, Iwaszkiewicz — 3.000. Wydawcy nie uwzględni, jak widać, wzrostu kultury literackiej i zapotrzebowania czytelników.

Skończmy jednak z pretensjami i przejdźmy do pozostałych pozycji. Znajdziemy tu m. in. „Wiersze i poematy” Wandy Karczewskiej (Czyt., 1954), wśród których na specjalną uwagę zasługuje poemat o Juliuszu Fuczu i „Krzesz śpiewający”. Znajdziemy w nim partie o pełnej sile między innymi fragmenty poematu „Czernieć i Anna” oraz satyry i groteski o tematyce wierszowej.

„Gwiazdy i ludzie” Jerzego Kiersta (PIW, 1954) — to poemat o Mikołaju Koperniku.

Jeszcze jednym dowodem ciałę żywych tradycji kulturalnych są „Sonety

o Włocławcu” i „Trzy poematy” Wł. Słobodka (Czyt., 1954), z rysunkami Jana Lenicy.

W Czytelniku wyszedł w tym roku obszerny tom Jana Spiewaka „Doświadczenia”, pokazyjący nowe osiągnięcia tego poety, który do skomplikowanych wierszy poprzecznych przeszedł do złaćnej prostoty i jednoznaczności ideologicznej.

„Pamiętnie” Andrzeja Mandallana (MON, 1954) — to poemat, którego tematem jest walka z faszyzmem i narastanie ruchu rewolucyjnego w okresie okupacji hitlerowskiej.

Do ciekawych wznowień poetyckich należy zbiorek Wiesławy Szymborskiej „Dla tego żyjemy” (Czyt., 1954). Równocześnie ukazał się w Wydawnictwie Literackim tomik nowych wierszy tej poetki zatytułowany „Pytania zadawane sobie”. W wierszach tych porusza poetka naczelną problematykę moralną współczesności. Charakterystycznym tonem tej poezji jest jaskrawa wewnętrzna dyskusja ideologiczna.

Nowe wiersze Anny Kamieńskiej ukazały się nakładem Czytelnika w tomiku „Bicie serca”. Poważny ładunek intelektualny, rozległa skala liryzmu — oto walory zasadnicze — pełne własnego wyrazu poetyckiego — twórczości Kamieńskiej.

„38 równoleżnik” lubelskiego poety Konrada Bielskiego (Czytelnik, 1954) wypełniają w większości wiersze poświęcone walkom wolnościowym narodu koreańskiego. Zbiorek uzupełniają ciekawe wiersze i satyry Isaaka Celnikiera. Przypominały także opiewany już w oddzielnej recenzji tomik „Wierszy gdańskich” młodego debiutanta Zbigniewa Szymańskiego (Czyt., 1954).

Wreszcie chcielibyśmy polecić uwagę czytelników: „Drogi i ulice” Tadeusza Siliwaka (Czyt., 1954), „W stronę jutra” Grzegorza Timofiejewa (Czyt., 1954), „Idącym naprzód” J. M. Giesca (Czyt., 1954), tom wierszy Jerzego Zagórskiego „Męska pieśń”, oraz nowe zbiorki poetyckie Tadeusza Nowaka i Adama Włodki, które wyszły w krakowskim Wydawnictwie Literackim.

Do interesujących nowości dzieł poezji należą także: tom wierszy satyr Jana Huszczy „O ludziach i z ludźmi” (Czyt., 1954), „Wiersze wybrane” J. Minikiewicza (PIW, 1954) z ilustracjami Gwidona Miklaszewskiego, oraz tom poetyckich satyr Leona Pasternaka „Smutne, ale prawdziwe” (Czyt., 1954).

Oddzielną grupę stanowią tomiki naszych poetów ludowych. Przed wszystkim zwraca uwagę „Wybór wierszy” Michała Kajki (Czyt., 1954), zmarłego w czasie okupacji poety mazureckiego, walczącego piórem w obronie polskości i pięknie przez Czytelnika wydanej antologii poetów mazurskich „Ziemia serdecznie znajoma”.

Godną pochwały inicjatywę podjęła w ubiegłym roku Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza rozpoczynając wydawanie „Biblioteki dawnych pisarzy chłopów”. W ramach tego cyklu wyszły drukiem „Utwory chłopów pańszczyńniaków” Jana Raka, żyjącego w latach 1820—1909, tomik w wyborze i opracowaniu Stanisława Czernika oraz „Wiersze i pamiętniki” Ferdynanda Kurasia — poety wywodzącego się z chłopskiej rodziny komorniczej, który w końcowym dorzeczu twórczości jest już wyrazicielem dążeń biedoty chłopów. Autorem wstępu do tego wyboru jest Stanisław Pięta. Dalsze tomiki „Biblioteki pisarzy chłopów” są już w przygotowaniu.

K. Nast.

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI METEORYT

Niby tankami tajga tu poręta,
głębokim klinem tam huragan legł.
Ryjący tędy cios meteorytu
przeszedł na wylot, nawskroś tajgę zsiekl.

My tutaj morzem szliśmy i po błotach...
I mech przedwieczny stał się nam u dróg.
I tylko dwakroć, drząc, cień samolotu
bezdźwięcznie padł na mech u naszych nóg.

W koło się las kosał zielony,
i rzeczka nieznająca tędy szła.
I tu odnaleźliśmy kawał lawy,
kawał chłodnego niebieskawego szkła.

Uczony stary docent z Leningradu
przygotowywał kartki do wykładu,
młoda drużyna z komсомолу
mleczaka, obstała go wokół.

Stos potonął. W gwiazdy spoglądałem,
widziałem znów, jak meteoryt mknął
czerwony chwałt komety ciągnąc z sobą
i w tajgę gna, i tajga pali się.

Gwiazdy wznosiły się nad głowy —
i mocniej czuliśmy u serc od knię
surowe ciepło ziemi, wilgoć jej,
i Sybir, wzgórza i parowy.

Przełożył Jan Bolesław Ożóg

ALEKSANDER PROKOFIEW ZARZECZE

W chustce, na oczy nasuniętej,
Zima śnieg sypie na rozlegli.
Zarzecz mieni się odświeżnie:
Bieleją na nim grube stogi —
Prastare, murszejące wieże,
Widne, jak gór odległych stoki,
Na nich dąb, który pola strzeże,
Ktoremu czapą są — obłoki.
Bielą zaniosło się i niesie,
I tylko zorzy kropki blade
W wyraźnie przereźzonym lesie
Fruwają żywych gółw stadem.
Zima, podłotek krasnolicy,
Przechodzi tam, gdzie śniegiem chluśnie
Wicher,

a dzieciół, ptasi fircyk,
Otwiera na jedlinie kuźnię.

Przełożył Leopold Lewin

STIEPAN SZCZYPACZOW

I cóż, że umrę, że nie powstrzymane
lata iść będą, że się prochem stanę...

Dziewczyna bosa pójdzie poprzez pola.
Podźwignę się, nicości nie chcąc ulec,
gorącym pyłem stopy jej otulę,
wonią rumianku wzniosę się do kolan.

Przełożył Witold Dąbrowski

WALENTIN TAWŁAJ O MOICH WERSZACH

Majakowski dobre dawał rady —
nie drukować swych wierszy na świeżo.
Napisał — odłód do szuflady,
wydrukujesz, kiedy się odleżą.

Dopomogli mi polscy panowie
nie zmarnować tej rady, tak cennej:
wzięli wiersze, i, razem z autorem,
zatrzasnęli je w celi kamiennej.

Sąd nad nimi czynili, aż miło.
I przysięgał, na krzyż kładąc ramie,
każdy szpicel, ilu ich tam było,
że nie wiersze to, ale — dynamit!

Przypatrywał się im prokurator
poprzez praw paragrafy surowe,
palcem stukał, aż zadowolony,
postanowił: — Po roczku za strofe! —

Znowu wiersz wyglądałem na narach
szorstkie deski szlifując plecami,
znowu długie toczyłem rozmowy
z marzeniami i ze wspomnieniami.

Należałem się — kości nie czuję.
Strof czytelnik doczekać się nie mógł.
Jedne wiersze zdążyły posiwieć,
w innych — pełno braków po staremu.

Przyjacielu, sumiennie te zwrotki
kulem w stali. Wyciągnij dłoń do nich.
Podzwaniay kajdany. Być może,
od tej pory od tego pieśń dzwoni.

Przełożył Witold Dąbrowski